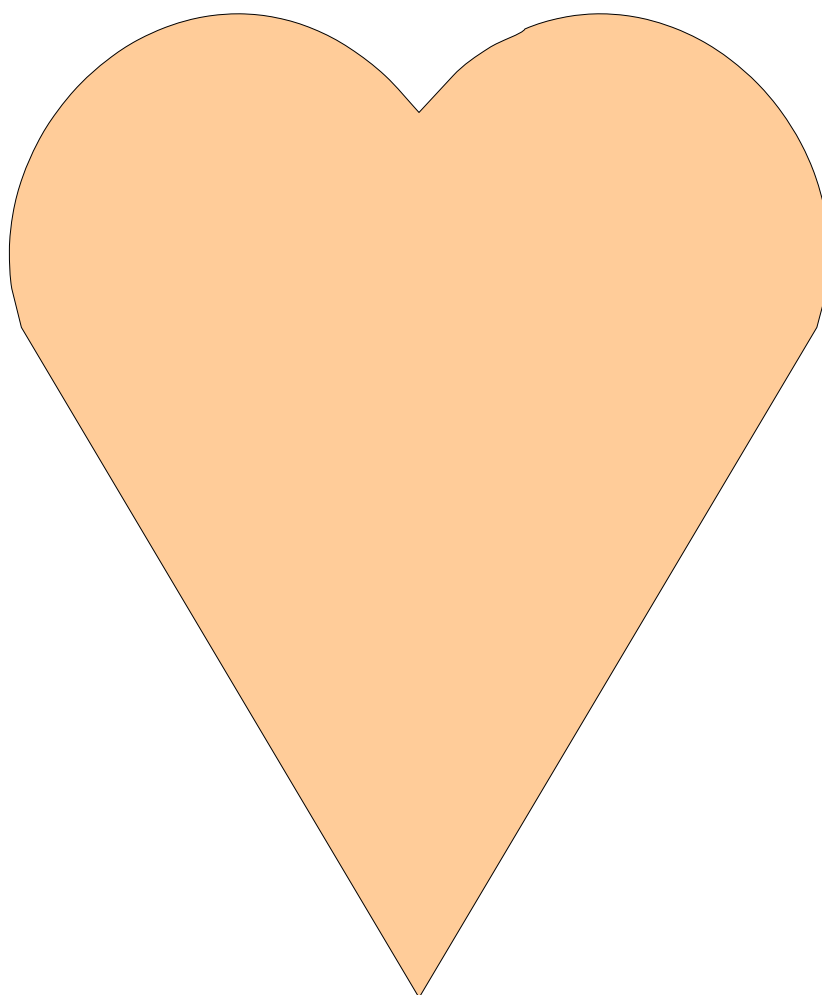


Frederick Forsyth -

Szepczący wiatr

Tłumaczył Piotr Art

2003



Jest rok 1876

W południowej Motanie toczą się krwawe walki między Indianami a białymi osadnikami pracującymi na Zachód.

Szepcący Wiatr to najpiękniejsza kobieta, jaką zdarzyło się Benowi Craigowi kiedykolwiek widzieć. Tyle, że ona jest Czejenką a on Amerykaninem, zwiadowcą służącym w armii generała Custer. Wydaje się, że ich związek nie ma najmniejszych szans.

Jednak niektóre uczucia są na tyle silne, by przetrwać do końca życia, a nawet dłużej.

Legenda głosiła,
że z masakry żołnierzy
generała Custer nad rzeką Little Big Horn
25 czerwca 1876 roku nie uszedł z życiem żaden biały.
To nie do końca prawda. Przeżył j a jeden człowiek.
Był nim dwudziestoczteroletni zwiadowca Ben Craig.
Oto jego historia.

Lekką woń dymu z ogniska, niesioną wiatrem wiejącym nad prerią, pierwszy wychwyił zwiadowca. Pełnił rolę czujki wystawionej dwadzieścia metrów przed dziesięcioma kawalerzystami, którzy tworzyli straż przednią głównej kolumny wojsk poruszającej się wzdłuż zachodniego brzegu rzeki Rosebud.

Nie odwracając się, zwiadowca uniósł prawą dłoń i ściągnął cugle. Jadący za nim sierżant i dziewięciu żołnierzy poszło w jego ślad. Zwiadowca zeskoczył z konia, który spokojnie zaczął gryźć trawę, po czym pochylony ruszył truchtem w kierunku niewysokiego pagórka oddzielającego ich od brzegu rzeki. Tam padł na ziemię, doczołgał się do szczytu wzniesienia i leżąc w wysokiej trawie, uniósł nieco głowę.

Rozłożyli się obozem między wzniesieniem a rzeczką. Był to niewielki obóz, nie więcej niż pięć szałasów. Najwyraźniej jedna wielopokoleniowa rodzina. Sądząc po kształcie tipi, byli to Czejenowie Północni. Zwiadowca znał ich doskonale. Namioty Siuksów były wysokie i wąskie, natomiast tipi Czejenów szersze u podstawy, bardziej przysadziste. Sceny łowieckie zdobiły boki pięciu namiotów. To również był element charakterystyczny dla Czejenów.

Zwiadowca ocenił, że w całym obozie może być około dwudziestu pięciu osób, z czego mniej więcej dziesięciu mężczyzn. Ci jednak z pewnością byli akurat na polowaniu. W pobliżu namiotów pasło się tylko siedem wierzchowców. Ażeby przenieść taki obóz z kobietami i dziećmi, zwiniętymi namiotami i resztą dobytku na toboganach, Indianie potrzebowali blisko dwudziestu koni.

Zwiadowca usłyszał, że sierżant czołga się w jego kierunku. Dał mu znak, by przypadkiem nie uniósł głowy. Po chwili kątem oka dojrzał obok siebie granatowy rękaw munduru z trzema skrzydełkami - oznaką stopnia wojskowego.

- Jaka sytuacja? - dobiegł go chropawy szept.

Była dopiero dziewiąta rano, ale już panował okropny upał. Byli w drodze od trzech godzin. Generał Custer lubił zwijać obóz bardzo wcześnie. Mimo to zwiadowca poczuł od przyczajonego obok mężczyzny woń kiepskiej whisky. Była ostra i nieprzyjemna, silniejsza od aromatu dzikich śliw, wiśni i pnących dzikich róż, którym rzeczka zawdzięczała swoją nazwę.

- Pięć tipi. Czejenowie. W obozie są tylko kobiety i dzieci. Mężczyźni pojechali na łowy na drugi brzeg.

Sierżant Braddock nie spytał nawet, skąd zwiadowca może to wiedzieć. Po prostu przyjął do wiadomości, że wie. Chrząknął głośno, splunął śliną przesyconą tytoniem i wykrzywił usta w

uśmiechu, odsłaniając poźółkłe zęby. Zwiadowca zsunął się tyłem ze wzniesienia i wstał.

- Zostawmy ich w spokoju. To nie ich szukamy

Jednak Braddock spędził już trzy lata na Wielkich Równinach w Siódmym Pułku Kawalerii, mając przeraźliwie mało rozrywki. Przybył tu, na Równiny, by zabijać Indian i nie miał zamiaru sobie tego odmawiać.

Rzeź trwała zaledwie pięć minut. Dziesięciu konnych przeskoczyło przez wzniesienie w jego środkowej części i ruszyło z kopyta, nacierając na obóz. Zwiadowca pozostał na koniu, patrząc na tę scenę z odrazą.

Jeden z żołnierzy, rekrut tak kiepsko jeździł na koniu, że podczas natarcia natychmiast spadł z jego grzbietu. Pozostali dokonali rzezi. Ponieważ białą broń zostawili w Fort Lincoln, strzelali z coltów i nowiutkich springfieldów model 1873.

Indiańskie kobiety, zajęte doglądaniem ognia i gotowaniem, usłyszawszy tętent końskich kopyt, zgarniały w popłochu bawiące się dzieci, by wraz z nimi uciec w stronę rzeczki. Było już jednak za późno. Zanim Indianie dobiegli do brzegu dopadli ich jeźdźcy, strzelając do wszystkiego co się poruszało. Kiedy było już po wszystkim a kobiety, dzieci i starcy leżeli martwi na ziemi, żołnierze zeskoczyli z koni i zaczęli płądrować namioty. Z ich wnętrza dobiegło jeszcze kilka strzałów.

Zwiadowca podjechał powolutku do obozowiska, by ocenić wyniki jatki. Gdy żołnierze podpalali tipi jasne było, że nikt nie uszedł z życiem. Pokręcił głową odmownie kiedy jeden z żołnierzy zaproponował, że podzieli się z nim łupami, po czym odjechał powoli wzdłuż płonących szałasów nad brzeg rzeki by napić konia.

LEŻAŁA skulona w trzcinie. Z rany postrzałowej na udzie ciekła jej krew. Gdyby był nieco szybszy zdążyłby odwrócić głowę i obojętnie zawrócić w stronę płonących tipi. Jednak Braddock, który go obserwował zdołał zauważyć, że zwiadowca się czemuś przygląda i natychmiast podjechał.

- Coś znalazł? - spytał. - A, jeszcze jedna gnida wciąż żywa. Wyciągnął colta z kabury i wycelował. Leżąca w szuwarach dziewczyna podniosła głowę i patrzyła na nich rozszerzonymi z przerażenia oczami. Zwiadowca chwycił Irlandczyka za nadgarstek i wykręcił mu rękę tak, że lufa pistoletu sterczała do góry. Kostropata, zaczerwieniona od whisky twarz Braddocka pociemniała teraz z gniewu.

- Nie zabijaj jej. Może coś wiedzieć - rzekł zwiadowca. Tylko tak mógł go powstrzymać. Braddock zawahał się, podumał przez chwilę po czym skinął głową.

- Dobrze myślisz, żołnierzu. Zabierzemy ją do generała.

Wsadził colta z powrotem do kabury i odjechał w stronę swoich ludzi. Zwiadowca zeskoczył z konia i wszedł w szuwary, by zająć się dziewczyną. Na szczęście kula nie przebiła kości ani tętnic, a jedynie mięsień. Mężczyzna zamoczył swoją chusteczkę do nosa w wodzie, obmył dokładnie ranę i obwiązał ją, by powstrzymać krwawienie.

Kiedy skończył, spojrzął na dziewczynę. Ona też wbiła w niego wzrok. Gęstwina gładkich kruczoczarnych włosów spływających na ramiona, szeroko otwarte czarne oczy, zamglone bólem i strachem. W oczach białego człowieka nie każda Indianka była ładna, ale spośród wszystkich za najpiękniejsze uchodziły właśnie Czejenki. Dziewczyna w szuwarach, mniej więcej szesnastoletnia, miała cudowną, niezemską urodę. Dwudziestoczteroletni zwiadowca, wychowany na lekturze Biblii, nie poznał jeszcze kobiety w rozumieniu Starego Testamentu. Teraz poczuł, że serce wali mu jak młotem i odwrócił wzrok. Zrzucił sobie dziewczynę na ramię i poniósł do zrujnowanego obozowiska.

- Wrzuc ją na grzbiet konia - krzyknął sierżant, po czym pociągnął potężny łyk whisky z blaszanej manierki.

Jednak zwiadowca pokręcił głową.

- Tobogan - powiedział. - Inaczej umrze.

Obok tłących się szczątków tipi leżało kilka toboganów. Wykonane były z długich, sprężystych żerdzi sosnowych, złączonych ukośnie rzemieniami by łatwo je było przytroczyć do końskiego grzbietu. Między rozwidlającymi się żerdziami rozpostarta była skóra bizona, na której zazwyczaj układano przewożony dobytek. Tobogan był też doskonałym środkiem transportu dla rannej osoby, znacznie wygodniejszym niż wozy białego człowieka.

Zwiadowca złapał jednego z dwóch indiańskich koni, które nie zdążyły uciec. Pozostałych pięć znajdowało się już dość daleko. Kiedy chwycił go za postronki, koń zaczął stawać dęba i wierzgać. Poczł woń białego człowieka, a ta doprowadzała owe półdzikie zwierzęta do szału. Fenomen ten działał zresztą w obie strony - wierzchowców w oddziałach kawalerii amerykańskiej nie można było wręcz opanować, kiedy poczuły indiański pot.

Zwiadowca zaczął chuchać delikatnie w chrapy konia, aż ten się wreszcie uspokoił i oswoił z jego obecnością. Dziesięć minut później tobogan był już przytroczony do końskiego

grzbietu, a ranna dziewczyna, owinięta kocem, leżała na skórze bizona. Patrol zawrócił ścieżką w stronę głównej kolumny wojsk Siódmego Pułku Kawalerii generała Custer. Był 24 czerwca, Anno Domini 1876.

PRZYCZYNĄ owej letniej kampanii w południowej Montanie były wydarzenia, które miały swój początek kilka lat wcześniej. Kiedy w górach Black Hills w Dakocie Południowej odkryto złoto, zaroilo się tam od poszukiwaczy. Jednakże w tym czasie Black Hills były już przyznane Siuksom w wieczyste władanie. Rozwścieczeni sytuacją, którą uznali za zdradę, Indianie odpowiedzieli napadami na poszukiwaczy złota i kolumny wozów osadników.

Waszyngton zareagował na to zerwaniem traktatu podpisanego w Port Laramie i nakazem przymusowej deportacji Indian do kilku niewielkich rezerwatów, których powierzchnia stanowiła jedynie ułamek tego, co im wcześniej solennie obiecano. Rezerваты rozmieszczone były na terenach Dakoty Północnej i Południowej.

Waszyngton wyodrębnił dodatkowo obszar nazwany Terytoriami Niescedowanymi. Były to odwieczne tereny łowieckie Siuksów, wciąż pełne bizonów i zwierzyny płowej. Terytoria te przylegały od wschodu do zachodnich krańców Dakoty Północnej i Południowej i ciągnęły się na osi północ-południe pasem o szerokości dwustu trzydziestu pięciu kilometrów. Ich północną granicę stanowiła rzeka Yellowstone płynąca przez Montanę i obie Dakoty, a południową rzeka North Platte w Wyoming. Tutaj początkowo pozwalano Indianom polować. Jednak pochod białego człowieka na zachód bynajmniej się nie zatrzymał.

W 1875 roku Siuksowie zaczęli uciekać z rezerwatów na tereny łowieckie. Pod koniec roku agenda federalna pod nazwą Biuro do Spraw Indian nakazała im powrót do rezerwatów najpóźniej w ter minie do 1 stycznia.

Siuksowie i ich sprzymierzeńcy wcale nie protestowali przeciwko temu ultimatum. Po prostu je zignorowali. Wczesną wiosną Biuro przekazało sprawę armii Stanów Zjednoczonych. Rozkaz brzmiał: znaleźć, otoczyć i odprowadzić pod eskortą do rezerwatów.

Jednak dowódcy armii nie wiedzieli dwóch rzeczy - ilu Indian rzeczywiście uciekło z rezerwatów ani też gdzie ich szukać. W pierwszej sprawie armię po prostu wprowadzono w błąd. Rezerваты były bowiem zarządzane przez agentów federalnych, wyłącznie białych, z których wielu było oszustami.

Waszyngton wysyłał im kontyngenty bydła, kukurydzy, mąki, koców i pieniędzy z

poleceniem rozproszania wśród podopiecznych. Wielu oszukiwało Indian w nieludzki wprost sposób, powodując wśród nich choroby i głód, a tym samym zmuszając do ucieczki na tereny łowieckie.

Kiedy agenci deklarowali, że sto procent mieszkańców rezerwatu znajduje się rzeczywiście w jego granicach, otrzymywali sto procent przydziałów. Wiosną 1876 roku agenci wmówili przedstawicielom armii, że uciekło tylko kilku wojowników. Kłamali. Znikły ich tysiące. Wszyscy podążyli na zachód, by dostać się na tereny łowieckie Terytoriów Niescedowanych.

Żeby ich odszukać, należało wysłać oddziały armii do południowej Montany. Plan działań zakładał, że akcję poszukiwawczą prowadzić będą trzy zgrupowania złożone zarówno z żołnierzy piechoty jak i kawalerii.

Generał Alfred Terry miał pomaszerować z Fort Lincoln w Dakocie Północnej na zachód, w dół rzeki Yellowstone, stanowiącej północną granicę terenów łowieckich. Generał John Gibbon miał skierować się z Fort Shaw w Montanie na południe do Fort Ellis, a następnie skręcić na wschód wzdłuż Yellowstone i spotkać się z podążającymi z przeciwnego kierunku wojskami generała Terry'ego.

Generał George Crook otrzymał rozkaz wymarszu na północ, ze znajdującego się na południowym krańcu Wyoming Fort Fetterman, następnie przekroczenia rzeki Tongue i dotarcia doliną Big Horn do miejsca spotkania z obu pozostałymi zgrupowaniami. Uznano, że jedno z nich gdzieś natrafi na główne siły Siuksów. Wszystkie wyruszyły w marcu.

Na początku czerwca Gibbon i Terry spotkali się w miejscu, gdzie płynąca na północ Tongue łączy swoje wody z Yellowstone. Nie napotkali ani jednego pióropusza wojennego. Wiedzieli przynajmniej tyle, że Indianie z Wielkich Równin musieli być gdzieś na południe od nich. Ustalili, iż siły Terry'ego połączą się z siłami Gibbona i pomaszerują z powrotem na zachód trasą, którą przybyły te ostatnie.

20 czerwca oba zgrupowania dotarły do ujścia rzeki Rosebud do Yellowstone. Tu postanowiono, że jeśli Indianie znajdują się w górze tej drugiej rzeki, Siódmy Pułk Kawalerii, który towarzyszył Terry'emu od samego Fort Lincoln, oddzieli się i podąży w kierunku górnego biegu Rosebud. Ustalono, że nawet jeśli dowodzącemu nim generałowi Custerowi nie uda się trafić na Indian, to pewnie napotka siły generała Crooka.

Nikt jednak nie wiedział, że 17 czerwca Crook natknął się na wielkie zgrupowanie

Siuksów i Czejenów, którzy sprawili jego oddziałom tęgie lanie. Zawrócił, więc na południe, beztróska polując na dziką zwierzynę. Nie wysłał jeźdźców na północ, by odnaleźli i ostrzegli pozostałe dwa zgrupowania, w związku z tym ich dowódcy nie mieli pojęcia, że na posiłki z południa nie mogą liczyć i że są zdani jedynie na własne siły.

CZWARTEGO dnia forsownego marszu doliną rzeki Rosebud jeden z oddziałów zwiadowczych powrócił z wieściami o zwycięstwie nad małą wioską Czejenów i o wzięciu jeńca.

Generał George Armstrong Custer, jadący dumnie na czele kolumny kawalerii, nie miał czasu na drobnostki. Ujrzawszy sierżanta Braddocka, skinął tylko głową i polecił mu złożyć raport dowódcy własnego szwadronu. Wszelkie informacje, które ewentualnie byłoby w stanie wyciągnąć od indiańskiej squaw, musiały poczekać, aż rozbiją obóz na noc.

Młoda Czejenka do końca dnia pozostała na toboganie. Zwiadowca zaprowadził jej srokatego konika na koniec kolumny i przywiązał postronki do wozu z zaopatrzeniem. Ponieważ nie było potrzeby rozpoznawania terenu, usadowił się w pobliżu. Przez krótki okres służby w Siódmym Pułku zdążył się już przekonać, jak bardzo mu to wszystko obrzydło. Nie podobał mu się ani jego sierżant, ani dowódca szwadronu, a generała Custer uważał za nadętego durnia. Swoje wrażenia zachowywał jednak dla siebie. Nazywał się Ben Craig.

Jego ojciec, John Knox Craig, był imigrantem ze Szkocji, gdzie wyrzucił go z niewielkiego splecheta ziemi cheiwy dziedzic. Przyjechał do Stanów Zjednoczonych na początku lat czterdziestych dziewiętnastego wieku. Poślubił tu młodą Szkotkę. Kiedy zorientował się, że niewiele zdziała w mieście, ruszył na zachód w kierunku pogranicza. W 1850 roku dotarł do Montany, gdzie spróbował szczęścia przy poszukiwaniu złota w okolicach gór Pryor.

W owych czasach był tutaj jednym z pierwszych osadników. Życie było ciężkie. Ostre zimy spędzali w drewnianej chacie nad strumieniem na skraju lasu. Beztróskie były tylko miesiące letnie, kiedy to w puszczy aż się roiło od zwierzyny łownej, w rzekach od pstrągów, a prerię porastały barwne dywany dzikich kwiatów i ziół. W 1852 roku Jennie Craig urodziła swego pierwszego i jedyne syna.

Ben Craig był zaledwie dziesięciolatkiem, prawdziwym dzieckiem puszczy i pogranicza, kiedy jego rodzice ponieśli śmierć z rąk Indian z plemienia Kruków. Dwa dni później traper o nazwisku Donaldson znalazł głodnego i zrozpaczonego chłopca w zgliszczach jego rodzinnej chaty. We dwóch pochowali Johna i Jennie Craigów. Nigdy nie wyszło na jaw, czy ojcu Bena

udało się gdzieś schować sakiewkę złotego proszku, bo gdyby nawet wojownicy Kruków ją znaleźli, z pewnością zawartość rozsypaliby sądząc, że to piasek.

Donaldson był starym traperem polującym na wilki, bobry, niedźwiedzie i lisy. Raz w roku zawoził zgromadzone skóry do najbliższej faktorii. Współczując osieroconemu chłopcu, stary samotnik postanowił zaopiekować się Benem i wychowywał go jak własnego syna.

Pod opieką matki Ben miał dostęp tylko do jednej książki - Biblii. Czytała mu z niej długie fragmenty. Ojciec pokazał mu zaś, jak przesiewać piasek w poszukiwaniu złota, ale dopiero dzięki Donaldsonowi Ben poznał dziką przyrodę, nauczył się rozróżniać ptaki po wydawanych przez nie odgłosach, tropić zwierzęta po śladach, jeździć konno i strzelać.

Dzięki niemu też poznał Czejenów, którzy jak stary Donaldson zajmowali się traperstwem i którym jego opiekun sprzedawał towary otrzymane w miasteczku za skóry. Ben poznał nie tylko ich zwyczaje, lecz również język.

Dwa lata przed letnią kampanią 1876 roku Donaldson chybił, strzelając do niedźwiedzia i stracił życie w pazurach bestii. Ben pochował przybranego ojca w pobliżu ich leśnej chaty, zabrał co mu było potrzebne i spalił resztę.

Stary Donaldson zawsze mawiał: "Kiedy już odejdę, chłopcze, bierz, co ci się nada. To wszystko będzie twoje". Dlatego Ben wziął nóż myśliwski w pochwie ozdobionej na sposób Czejenów, strzelbę Sharpsa, model z 1852 roku, dwa konie, siodła, derki i trochę suszonego mięsa na drogę. Po dotarciu na równinę ruszył na północ do Fort Ellis.

Zajmował się tam myślistwem, traperstwem i ujeżdżeniem koni. W kwietniu 1876 roku w pobliżu przejeżdżały oddziały generała Gibbona. Generał poszukiwał zwiadowców znających dobrze tereny na południe od Yellowstone. Żołd, który zaproponował Benowi, był niezły więc młody Craig zaciągnął się.

Był świadkiem spotkania z oddziałami generała Terry'ego. Podążał wraz z połączonymi siłami obu dowódców aż do ujścia rzeki Rosebud. Tam Siódmy Pułk Kawalerii otrzymał rozkaz ruszenia na południe wzdłuż biegu Rosebud. Potrzebny był ktoś, kto znał język Czejenów.

Custer miał dwóch zwiadowców mówiących narzeczem Siuksów. Jednym z nich był jedyny czarnoskóry żołnierz Siódmego Pułku, Izajasz Dorman, który kiedyś żył wśród Siuksów, drugim zaś główny zwiadowca Mitch Bouyer, pół krwi Siuks, pół Francuz. Jednak choć Czejenów zawsze uważano za spokrewnionych z Siuksami, narzecza obu plemion różniły się znacznie. Craig zgłosił się i został przydzielony przez generała Gibbona do Siódmego Pułku.

Gibbon zaproponował generałowi Custerowi trzy dodatkowe szwadrony kawalerii pod dowództwem majora Brisbina, lecz oferta spotkała się z odmową. Terry zaoferował mu sześciolufowe karabiny maszynowe Gatlinga, lecz Custer również ich nie przyjął. Kiedy Siódmy Pułk wyruszał w górę rzeki Rosebud, składał się z dwunastu szwadronów kawalerii, sześciu białych zwiadowców i ponad trzydziestu indiańskich, oraz trzech cywilów - łącznie sześciuset siedemdziesięciu pięciu ludzi. Byli wśród nich też weterynarze, kowale i poganiacze mułów. Wojskom towarzyszyła barwna kolumna wozów.

Custer pozostawił swoją orkiestrę wojskową Terry'emu, co oznaczało, że ostatecznemu natarciu nie będą towarzyszyć dźwięki jego ulubionego marsza "Garryowen". Kiedy jednak posuwali się wzdłuż brzegu rzeki, przy akompaniamencie obijających się o siebie garnków, kotłów i warząchw, które zwisały z burt kuchni polowych, Craig zastanawiał się, jakich to Indian Custer ma zamiar niespodziewanie zaskoczyć. Hałas i kurz wzniesiony przez trzy tysiące kopyt słychać było i widać z odległości dobrych kilku kilometrów.

Przez cały dzień kolumna posuwała się na południe wzdłuż biegu Rosebud, ale nigdzie nie było widać ani śladu Indian. Mimo to kilka razy, kiedy powiał wiatr zachodni, konie stawały się niespokojne a Craig dałby sobie rękę uciąć, że wyczuły jakiś zapach. O elemencie zaskoczenia nie mogło być mowy.

Ledwie minęła czwarta po południu, kiedy generał Custer kazał zatrzymać kolumnę i rozbić obozowisko. Szybko ustawiono namioty dla oficerów. Custer i jego najbliżsi kompani spali w namiocie sanitarnym, największym i najwygodniejszym. Ustawiono składane siedzenia i stoły, zaprowadzono konie do strumienia, przygotowano jedzenie i rozpalono ogniska.

MŁODA Czejenka leżała cicho na toboganie, wpatrzona nieruchomo w mroczniejące niebo. Była gotowa na śmierć. Craig napełnił manierkę wodą ze strumienia i podał jej. Spojrzała na niego wielkimi, ciemnymi oczami.

- Pij - powiedział w narzeczu Czejenów. Nawet się nie poruszyła. Połał jej usta strużką wody. Dziewczyna rozchyliła wargi. Przełknęła. Craig postawił naczynie obok niej.

O zmroku do obozu przybył posłaniec, szukając Bena. Kiedy go odnalazł, odjechał z powrotem by złożyć raport. Dziesięć minut później nadjechał kapitan Acton. Towarzyszył mu sierżant Braddock, jakiś kapral i dwóch szeregowych. Wszyscy zeskoczyli z koni i zgromadzili się wokół toboganu.

Acton był zawodowym oficerem, który wstąpił do armii dziesięć lat wcześniej, zaraz po zakończeniu wojny secesyjnej. Pochodził z zamożnej rodziny ze Wschodu. Był szczupły, miał ostre rysy twarzy i wyrażające okrucieństwo usta.

- A więc sierżancie to jest pana jeniec - powiedział Acton. - Sprawdźmy też, co on wie. Czy to ty mówisz w narzeczu tych dzikusów? - zwrócił się do Craiga. Zwiadowca kiwnął potakująco głową.

- Chcę wiedzieć, jak się nazywa, kim byli jej współplemieńcy i gdzie się znajdują główne siły Siuksów. Wyciągnij to z niej. Szybko!

Craig pochylił się nad dziewczyną. Zaczął mówić w narzeczu Czejenów używając zarówno słów jak i licznych gestów, język Indian z Wielkich Równin ma bowiem tak ubogie słownictwo, że aby zostać dobrze zrozumianym trzeba się nieźle namachać rękami.

- Powiedz mi, jak masz na imię. Nie stanie ci się nic złego.

- Mam na imię Wiatr, Który Szepcze Cicho - odpowiedziała. Żołnierze stali i przysłuchiwali się ich rozmowie. Nie znali ani słowa w tym języku ale domyślali się co oznaczają kiwnięcia głowy dziewczyny. W końcu Craig wyprostował się.

- Kapitanie, dziewczyna mówi, że nazywa się Szepczący Wiatr. Pochodzi z Czejenów Północnych, z rodu Wysokiego Łosia. To ich wioskę sierżant spalił dzisiaj rano. Mężczyźni akurat polowali na jelenie i antylopy na zachód od Rosebud.

- A gdzie jest główne zgrupowanie Siuksów?

- Mówi, że nie widziała Siuksów. Dotarta tu z rodziną z południa, znad rzeki Tongue. Wysoki Łoś woli polować bez towarzystwa.

Kapitan Acton spojrzał na obandażowane udo dziewczyny, pochylił się i ścisnął je mocno w miejscu rany. Dziewczyna wstrzymała oddech, ścisnęła zęby ale nie wydała z siebie nawet jęku.

- Potrzeba jej trochę zachęty - powiedział Acton. Sierżant wykrzywił usta w sadystycznym uśmiešku. Craig chwycił kapitana za nadgarstek i odciągnął jego rękę od uda Czejenki.

- To nic nie da, panie kapitanie - rzekł. - Powiedziała wszystko, co wie. Skoro Siuksów nie ma na północy skąd przyszliśmy, ani na południu, ani na wschodzie, muszą być gdzieś na zachodzie. Może pan to powtórzyć generałowi.

Kapitan Acton wyszarpnął rękę z uścisku Craiga, jak gdyby ten był trędowaty.

Wyprostował plecy, wyciągnął z kieszonki zegarek w srebrnej kopercie i spojrzął na tarczę.

- Za chwilę będzie kolacja w namiocie generała - powiedział.

- Muszę jechać. Sierzancie, kiedy zapadnie noc proszę ją zabrać na prerię i wykończyć.

- Czy przedtem możemy się z nią trochę zabawić, panie kapitanie? - spytał sierżant Braddock. Pozostali mężczyźni zarechotali z aprobatą. Kapitan Acton wskoczył na konia.

- Szczerze mówiąc nie obchodzi mnie co z nią zrobicie sierzancie - odparł, po czym spiął konia ostrogami i popędził w stronę namiotu generała Custer, a pozostali podążyli za nim. Braddock pochylił się do Craiga z obleśnym uśmiechem.

- Pilnuj jej chłopcze. Wkrótce wrócimy.

Craig poszedł do najbliższej kuchni polowej, wziął talerz solonej wieprzowiny, usiadł i zajął się jedzeniem. Przypomniała mu się matka czytająca mu Biblię przy świetle świecy. Przypomniał się ojciec cierpliwie przesiewający kamyki w poszukiwaniu cennego, żółtego kruszcu w strumieniach płynących ze zboczy gór Pryor. Przypomniał mu się Donaldson, który tylko raz złożył go pasem, kiedy zachował się okrutnie wobec schwytanego zwierzęcia.

Tuż przed ósmą, kiedy obóz otuliła noc, Craig wstał i poszedł do toboganu. Nie odezwał się do dziewczyny Zdjął tylko żerdzie z końskiego grzbietu i położył je na ziemi. Wziął Czejenkę na ręce i bez wysiłku wsadził na konia. Wetknął jej w dłonie postronki i pokazał palcem bezkres prerii.

- Jedź!

Przeglądała mu się przez parę sekund. Craig klepnął konia po zadzie i już po chwili silne, wytrzymałe, niepodkute zwierzę, które potrafiło samo poruszać się po prerii, idąc za zapachem swoich, zniknęło mu sprzed oczu.

PRZYSZLI po niego o dziewiątej. Dwóch żołnierzy trzymało go mocno, a sierżant Braddock zadawał mu ciosy. Kiedy stracił przytomność powlekli go przez obóz do generała Custer, który siedział przy stole przed swoim namiotem w otoczeniu oficerów w świetle kilku kaganków.

George Armstrong Custer zawsze stanowił dla innych zagadkę. Jego osobowość łączyła w sobie dwie sprzeczne strony - dobrą i złą, jasną i ciemną.

Czasami był radosny i roześmiany, uwielbiał chłopięce psoty i wesołą kompanię. Miał niewyczerpaną energię i niesłychaną wytrzymałość. Wciąż zajmował się czymś nowym, na

przykład chwycił zwierzęta na równinach, po czym wysyłał je do ogrodów zoologicznych na wschodzie kraju albo też uczył się sztuki ich wypychania. Pomimo lat rozłąki, był absolutnie wierny swojej żonie Elizabeth, którą bezgranicznie uwielbiał.

Czternaście lat wcześniej, podczas wojny secesyjnej, wykazał się tak niezwykłą odwagą, że szybko awansował do stopnia generała majora, choć później zgodził się, by w niższym stopniu podpułkownika pozostać w okrojonej, powojennej armii. W oczach cywilów był bohaterem, natomiast podwładni nie darzyli go ani sympatią, ani zaufaniem, oczywiście poza ludźmi z jego najbliższego otoczenia.

Działo się tak, ponieważ Custer potrafił być pamiętliwy i okrutny wobec tych, którzy mu się narazili. Choć sam nigdy nie odniósł żadnych ran, stracił w czasie wojny więcej żołnierzy, rannych lub zabitych niż jakikolwiek inny dowódca kawalerii. Szafował życiem swoich podkomendnych w stopniu graniczącym z szaleństwem. A żołnierze nie przepadają za dowódcami, którzy wysyłają ich beztrąsko na śmierć.

Custer cechował się też niesłychaną próżnością i ilekroć był w stanie, chętnie wykraczał poza ramy wojskowej służby, działając tak, by doczekać się gloryfikacji swojej osoby przez gazety. Temu celowi służyło również kreowanie specyficznego wizerunku, na który składały się między innymi długie, kasztanowe loki oraz uniform z dobrze wyprawionej kozłowej skóry.

Jako dowódca miał dwie zasadnicze wady. Po pierwsze, z reguły lekceważył przeciwnika. Po drugie zaś, nigdy nikogo nie słuchał. Maszerując w górę rzeki Rosebud miał do dyspozycji wyjątkowo doświadczonych zwiadowców, lecz mimo to ignorował jedno ostrzeżenie za drugim. To właśnie przed oblicze tego człowieka zawleczono wieczorem 24 czerwca Bena Craiga.

Sierżant Braddock wyjaśnił generałowi co zaszło, i że ma na to świadków. Custer przyjrzał się uważnie stojącemu przed nim mężczyźnie. Młodszy od niego o jakieś dwanaście lat, ubrany w skórzaną kurtkę i spodnie. Blisko metr osiemdziesiąt wzrostu, kręcone kasztanowate włosy i intensywnie błękitne oczy. Nie był mieszkańcem jak wielu innych zwiadowców, choć nosił miękkie mokasyny nie zaś twarde buty kawalerzystów, a w spleciony warkoczyk z tyłu głowy miał wetknięte orle pióro.

- To bardzo poważne wykroczenie - powiedział Custer, kiedy sierżant skończył mówić.
- Czy przyznajesz się do popełnienia tego czynu?
- Tak, panie generale.
- Dlaczegoś to zrobił?

Craig opisał wcześniejsze przesłuchanie dziewczyny i plany, jakie wobec niej żywili żołnierze. Na twarzy Custerza odmalowała się dezaprobata.

- Takich rzeczy nie będzie w moim pułku dopóki ja tu dowodzę, nawet z indiańskimi kobietami. Sierzancie, czy to prawda?

W tym momencie wtrącił się Acton siedzący obok Custerza. Mówił gładko, przekonująco. Osobiście przeprowadził przesłuchanie. Dziewczynie nie zadano bólu. Jego ostatni rozkaz brzmiał: dziewczynę trzymać pod strażą i zapewnić jej pełne bezpieczeństwo w oczekiwaniu na decyzję co do jej losu, którą rano podejmie generał Custer.

- Sierżant Braddock może potwierdzić wszystko to co powiedziałem - zakończył.

- Tak jest, panie generale. Tak było - pospieszył z odpowiedzią Braddock.

- A zatem wina bezsporna - zdecydował Custer.

- Trzymać pod strażą, aż do postawienia przed sądem wojennym. Poślijcie po sierżanta żandarmerii. Uwalniając tę Indiankę, Craig, umożliwiliście jej ostrzeżenie głównych sił wroga o naszej obecności. To zdrada, a karą za nią jest stryczek.

- Ona wcale nie pojechała na zachód - powiedział Craig. - Ruszyła na wschód szukać tych, co ocaleli z jej rodziny.

- To nie znaczy, że nie może powiadomić wroga o naszym położeniu - zachnął się Custer.

- Oni doskonale wiedzą gdzie jesteśmy, panie generale.

- Skąd ta pewność?

- Śledzili nas przez cały dzień - wyjaśnił Craig.

Na dziesięć sekund zapadła cisza. Pojawił się sierżant żandarmerii, tęgi i prostoduszny żołnierz o nazwisku Lewis, który miał za sobą wiele lat służby w wojsku.

- Sierzancie, proszę aresztować tego człowieka. Trzymać go pod ścisłą strażą. Sąd wojenny jutro o wschodzie słońca. Szybko załatwimy sprawę, a wyrok zostanie wykonany natychmiast. To wszystko.

- Jutro przypada Dzień Pański - zauważył Craig.

Custer pomyślał przez chwilę.

- Masz rację. Nie będę wieształ człowieka w niedzielę. Przelóżmy to na poniedziałek.

Siedzący w pobliżu generała adiutant, pochodzący z Kanady kapitan William Cooke, protokołował przebieg przesłuchania. Swoje notatki wcisnął później do juków.

W tym momencie pod namiot podjechał jeden ze zwiadowców, Bob Jackson.

Towarzyszyło mu czterech Arikarów, zwanych też Ree, oraz jeden zwiadowca z plemienia Kruków. Zapuscili się daleko na południe i dlatego wrócili spóźnieni do obozu. Jackson był mieszańcem, płynęła w nim krew zarówno białych jak i czerwonoskórych przodków z plemienia Piegan należącego do Czarnych Stóp. Po wysłuchaniu jego meldunku Custer zerwał się na równe nogi.

Tuż przed zachodem słońca indiańscy zwiadowcy Jacksona natrafili na ślady wielkiego obozowiska, licznych tipi, które jeszcze niedawno stały na prerii. Zorientowali się, że Indianie odeszli na zachód oddalając się od doliny rzeki Rosebud.

Custer był podniecony z dwóch powodów. Po pierwsze, generał Terry rozkazał mu, by zmierzał w górę rzeki Rosebud, ale pozostawiał mu prawo do samodzielnych decyzji, gdyby pojawiły się nowe okoliczności. A właśnie to nastąpiło. Teraz Custer był już niezależny od przełożonych i mógł opracować własny plan działań. Po drugie, nareszcie udało im się wpaść na trop głównych sił nieuchwytnych dotąd Siuksów. Trzydzieści parę kilometrów dalej na zachód leżała dolina innej rzeki Little Big Horn płynącej na północ, gdzie po połączeniu z rzeką Big Horn wpadała do Yellowstone. Za dwa lub trzy dni połączone siły Gibbona i Terry'ego dotrą do tego miejsca i ruszą na południe wzdłuż Big Horn. A wtedy Siuksowie znajdą się w potrzasku.

- Zwijać obóz! - wykrzyknął Custer, po czym oficerowie natychmiast rozbiegli się do swoich oddziałów.

- Będziemy maszerować nocą!

Zwracając się do sierżanta żandarmerii dodał: - Sierzancie Lewis, macie pilnować więźnia. Przywiążcie go do konia. Niech się dobrze przyjrzy, co zrobimy z jego przyjaciółmi.

Maszerowali nocą po nieprzyjaznym, wznoszącym się terenie, oddalając się od doliny Rosebud i kierując w stronę zlewiska. Zmęczenie ogarnęło ludzi i konie. Nad ranem, w niedzielę 25 czerwca, dotarli do działu wodnego, wysokiego wzniesienia u zbiegu dolin obu rzek. Było wciąż ciemno, choć oko wykol, mimo że nad nimi rozciągało się rozgwieżdżone niebo. Nieco dalej natrafili na strumień, który Mitch Bouyer zidentyfikował jako Dense Ashwood Creek, który spływał ku zachodniej części doliny, by tam połączyć się z Little Big Horn. Kolumna wojsk ruszyła wzdłuż jego brzegu.

Tuż przed świtem Custer nakazał swoim oddziałom zatrzymać się. Wyczerpani żołnierze pokładli się na ziemi, usiłując pochwycić choćby odrobinę snu.

Craig jechał pod eskortą sierżanta żandarmerii w kolumnie dowództwa zaledwie

pięćdziesiąt metrów za Custerem. Wciąż siedział na koniu, choć nogi miał przywiązane rzemieniami do popręgu, a ręce skrępowane za plecami.

Lewis, który był służbistą i dość szorstkim w obejściu ale przyzwoitym człowiekiem, odwiązał mu kostki i pozwolił zeskoczyć na ziemię. Ponieważ Craig miał nadal skrępowane ręce, Lewis podsunął mu pod usta manierkę z wodą. Zapowiadał się upalny dzień.

Wtedy właśnie Custer podjął pierwszą ze swych nieroztropnych decyzji tego dnia. Wezwał do siebie drugiego zastępcę, kapitana Fredericka Benteena i rozkazał mu natychmiast wyruszyć wraz z trzema szwadronami na południe w poszukiwaniu Indian. Stojący zaledwie kilka metrów dalej Craig usłyszał jak Benteen protestuje. Skoro istnieje podejrzenie, że gdzieś w pobliżu Little Big Horn znajduje się silne zgrupowanie wroga, to czy rozsądnie jest rozdzielać własne siły?

- To rozkaz! - rzucił Custer i odwrócił plecami do Benteena. Ten wzruszył ramionami i zrobił co mu kazano. W ten sposób stu pięćdziesięciu z około sześciuset żołnierzy Custera zniknęło wśród bezkresnych wzgórz i dolin wrogiej krainy goniąc za chimerami.

Benteen oraz jego wyczerpani ludzie i konie mieli powrócić do doliny wiele godzin później, zbyt późno by pomóc, ale też na tyle późno by nie doświadczyć zagłady. Po wydaniu rozkazów Custer ponownie polecił zwinąć obóz. Siódmy Pułk znów ruszył brzegiem strumienia w stronę Little Big Horn.

O BRZASKU powróciło kilkunastu zwiadowców z plemienia Kruków i Ree, którzy pojechali przodem przed kolumną. W pobliżu miejsca gdzie Dense Ashwood Creek wpada do Little Big Horn trafili na wzgórze porośnięte sosnami. Wystarczyło wspiąć się na jedną z nich, by ujrzeć całą dolinę rzeki jak na dłoni.

Spomiędzy gałęzi drzew dwaj zwiadowcy z plemienia Ree zobaczyli to, co było do zobaczenia. Kiedy doszło do nich, że Custer planuje dalszy marsz, siedli na ziemi i zaczęli nucić pieśń śmierci.

Wstało słońce. Upał stawał się coraz bardziej nieznośny. Generał Custer, który miał na sobie swój kremowy uniform z kozłowej skóry, zdjął kurtkę, zrolował ją i przytroczył do siodła za sobą. Jechał dalej w niebieskiej bawełnianej koszuli i kremowym kapeluszu o szerokim rondzie, osłaniającym oczy od palących promieni słonecznych.

Kiedy kolumna dotarła do wzgórza, Custer podjechał do połowy zbocza i wyciągnął

lunetę. Zobaczył ich nad brzegiem strumienia, jakieś pięć kilometrów przed jego ujściem do rzeki. Zjechał pośpiesznie ze zbocza i omówił sytuację z oficerami, a wieści szybko rozniosły się wśród żołnierzy. Generał widział dym wznoszący się znad ognisk, na których Siuksowie gotowali strawę. Było już późne przedpołudnie.

Po drugiej stronie strumienia na wschód od rzeki ciągnęło się pasmo niewysokich pagórków, które zasłaniały widok na poziomie gruntu. A zatem Custer znalazł swoich Siuksów. Nie wiedział ilu ich tam jest i nie chciał słuchać ostrzeżeń zwiadowców. Był zdecydowany rozpocząć atak, jedyny manewr, który znajdował się w osobistym słowniku sztuki wojennej generała.

Jego plan przewidywał wzięcie Indian w kleszcze. Zamiast otoczyć ich od południa i czekać na Terry'ego i Gibbona, by odciąli siły wroga od północy postanowił z tego, co pozostało z Siódmego Pułku uformować dwa szyki okrążające.

Przywiązany do konia i oczekujący sądu wojennego po bitwie, Ben Craig słyszał jak generał Custer wydaje rozkaz swemu zastępcy, majorowi Marcusowi Reno, by poprowadził trzy szwadrony w kierunku zachodnim. Mieli przejść rzekę w bród, skrócić w prawo i dokonać natarcia na wioskę od południa.

Jeden szwadron miał pozostać na tyłach, by pilnować jucznych mułów i zapasów. Z pozostałymi pięcioma szwadronami Custer zamierzał pogalopować w cieniu wzgórz i okrążyć je od północnego krańca, przebyć odcinek wzdłuż biegu rzeki, przeprowić się na drugi brzeg i zaatakować Siuksów od północy. Schwytani między trzy szwadrony majora Reno i jego pięć szwadronów Indianie mieli zostać błyskawicznie pokonani.

Craig nie miał pojęcia, co znajdowało się poza zasięgiem jego wzroku za wzgórzami, ale obserwował zachowanie zwiadowców z plemienia Kruków i Ree. Oni dobrze wiedzieli i przygotowywali się na śmierć. Ze szczytów sosen dostrzegli, bowiem największe zgrupowanie Siuksów i Czejenów, jakie znał świat. Sześć wielkich plemion zjednoczyło się i rozłożyło obozem wzdłuż zachodniego brzegu rzeki Little Big Horn. Łącznie było ich od dziesięciu do piętnastu tysięcy.

Minęło właśnie południe, kiedy generał Custer rozdzielił swoje siły po raz ostatni, co okazało się ruchem fatalnym w skutkach. Ben Craig przyglądał się jak major Reno odjeżdża, podążając wzdłuż brzegu strumienia w kierunku jego ujścia. Jadący na czele swojego szwadronu kapitan Acton zerknął przelotnie na zwiadowcę, którego praktycznie skazał na śmierć,

uśmiechnął się przy tym ironicznie i pojechał dalej. Podążający za nim sierżant Braddock obdarzył Craiga szyderczym spojrzeniem.

Dwie godziny później obaj mieli już być martwi, podczas gdy resztki trzech szwadronów majora Reno z trudem będą się broniły na szczycie jednego ze wzgórz, licząc na odsiecz ze strony generała Custer. Jednak Custer nigdy się tam nie pojawił i uratować miał ich dopiero dwa dni później generał Terry.

Na oczach Craiga stu pięćdziesięciu żołnierzy, uszczuplając główne siły odjechało brzegiem strumienia. Choć sam nie był żołnierzem zdawał sobie sprawę, że są na straconej pozycji. Ponad trzydzieści procent sił Custer stanowiли rekruci, którzy przeszli jedynie podstawowe przeszkolenie. Niektórzy radzili sobie z własnymi końmi, ale tylko wtedy gdy byty spokojne. W bitwie nie mieli szans. Inni ledwie potrafili obchodzić się z bronią.

Kolejne czterdzieści procent stanowiłi żołnierze, którzy choć byli nieco dłużej w wojsku to nigdy nie strzelali do Indian, a wielu nie widziało czerwonoskórego na oczy, nie licząc kilku łagodnych i zastraszonych osobników w rezerwach. Craig zastanawiał się jak zareagują, gdy natrze na nich tabun wyjących, pomalowanych w barwy wojenne wojowników, broniących zaciekle swoich kobiet i dzieci.

Wiedział też, że Custer nie dopuszczał do świadomości jeszcze jednego decydującego czynnika. Otóż wbrew legendom, Indianie z Wielkich Równin wcale nie lekceważyli życia, lecz cenili je jak świętość. Unikali ofiar śmiertelnych i jeśli utracili dwóch lub trzech spośród swych najdzielniejszych wojowników, po prostu wycofywali się z bitwy. Jednak dzisiaj Custer atakował ich rodziców, ich żony i dzieci. Honor nie pozwalał im odłożyć broni dopóty, dopóki ostatni wasichu, biały człowiek nie padnie martwy.

Kiedy tuman kurzu wzbijany przez ludzi Reno zniknął z pola widzenia Custer nakazał by wozy z zaopatrzeniem pozostały na miejscu pod strażą jednego z ostatnich sześciu szwadronów, które miał do dyspozycji. Z pozostałymi pięcioma, składającymi się z około dwustu pięćdziesięciu żołnierzy, ruszył na północ. Pagórki osłaniały go przed wzrokiem Indian znajdujących się w dolinie, ale też zasłaniały ich przed jego wzrokiem.

Craig zrozumiał, że Custer wciąż nie zdaje sobie sprawy z zagrożenia, zabrał bowiem ze sobą trzech cywilów, by mogli przyjrzeć się zabawie. Jednym z nich był dziennikarz, drugim najmłodszy brat Custer a dziesięcioletni Boston Custer, trzecim zaś szesnastoletni siostrzeniec generała Autie Reed.

Żołnierze posuwali się do przodu dwójkami, kolumną rozciągniętą na około osiemset metrów. Tuż za Custerem jechał jego adiutant kapitan Cooke, za nim ordynans generała, którego obowiązki tego dnia pełnił kawalerzysta John Martin, będący jednocześnie trębaczem pułku. Naprawdę nazywał się Giuseppe Martino, a pochodził z Włoch, gdzie niegdyś służył jako trębacz pod Garibaldim i słabo mówił po angielsku. Sierżant Lewis i skrzepowany Ben Craig podążali jakieś dziesięć metrów za Custerem

Kiedy wjeżdżali między pagórki, trzymając się poniżej ich szczytów dojrżeli siły majora Reno, które właśnie przeprowały się na drugi brzeg rzeki Little Big Horn, by zaatakować obóz od południa. Zauważywszy ponure miny zwiadowców z plemienia Kruków i Ree, Custer pozwolił im zawrócić i odjechać. Nie trzeba ich było namawiać. Dzięki temu ocalili.

Żołnierze podążali tak około pięciu kilometrów, po czym skręcili w lewo, wspięli się na szczyt wzgórza i wreszcie mogli spojrzeć w dół na dolinę.

- Słodki Jezu! - Craig usłyszał przeciągły jęk sierżanta, który trzymał lejce jego konia. Na drugim brzegu rzeki rozciągał się ogromny ocean indiańskich tipi.

Nawet z tej odległości Ben Craig był w stanie rozróżnić kształty namiotów i ich kolory, identyfikując w ten sposób plemiona, i oszacować siły Indian.

Indianie z Wielkich Równin zawsze podróżowali w kolumnach, jedno plemię za drugim. Zatrzymując się na noc, rozbijali osobne obozowiska. Po drugiej stronie rzeki było ich sześć. Ciągnęli na pół noc i przed kilkoma dniami zatrzymali się w tym miejscu.

Zaszczyt kierowania siłami Indian przypadł Czejenom Północnym, w związku z tym ich namioty zajmowały północny kraniec obozowiska. Tuż za nimi rozbili się ich najbliżsi sprzymierzeńcy, Siuksowie Oglala. Dalej znajdowało się obozowisko Siuksów Sans Arc, a za nimi namioty Czarnych Stóp. Drugi od końca obóz należał do Indian ze szczepu Minneconjou, a ostatni najdalej wysunięty na południe i już atakowany przez ludzi majora Reno - do plemienia Hunkpapa, którego wodzem a jednocześnie naczelnym szamanem Siuksów, był stary weteran, czterdziestoletni Siedzący Byk.

Ludzie Custer nie mogli jednak zobaczyć zza wzgórz, że atak majora Reno na siły Siedzącego Byka okazał się katastrofą. Hunkpapowie tłumnie wylegli ze swoich tipi, dosiedli koni i w pełnym uzbrojeniu odparli natarcie.

Dochodziła druga po południu. Żołnierze majora Reno zostali sprytnie oskrzydleni z lewej przez wojowników na koniach i zepchnięci w zagajnik drzew bawełnianych rosnących tuż

przy brzegu, na który ledwie co dotarli.

Wielu kawalerzystów zeskoczyło z koni, inni utracili kontrolę nad swoimi wierzchowcami i pospadali na ziemię. Część z nich pogubiła karabiny, które Indianie skwapliwie pozbiali. W ciągu zaledwie kilkunastu minut ocaleli z rzezi żołnierze rzucili się w pław na drugą stronę rzeki, chroniąc się na szczycie wzgórza, gdzie mieli przeżyć trzydziestosześciodzinne oblężenie.

Generał Custer ocenił to, co był w stanie dojrzeć. W obozie znajdowały się indiańskie squaw i dzieci, ale ani śladu wojowników. Custer uznał to za miłą niespodziankę. Craig usłyszał, jak donośnym głosem wydaje rozkaz zgromadzonym wokół niego dowódcom szwadronów.

- Zjeżdżamy, forsujemy rzekę i zajmujemy obóz!

Następnie wezwał do siebie kapitana Cooke'a i podyktował mu wiadomość. Skierowana była, ni mniej ni więcej, tylko do kapitana Benteena, którego parę godzin wcześniej generał wysłał na odludzie. Wiadomość, którą zapisał Cooke, brzmiała następująco: "Wracaj. Wielkie obozowisko. Szybko. Przywieź amunicję". Generał wręczył ją trębaczowi Martino, który dzięki temu przeżył i mógł potem zrelacjonować przebieg wypadków.

Włoch jakimś cudem odnalazł Benteena, ów ostrożny z natury oficer przerwał bowiem w końcu swą wyprawę z motyką na słońce, powrócił nad rzekę i pośpieszył z odsieczą majorowi Reno oblężonemu na wzgórzu. Jednak wtedy nie było już mowy o przebiciu się do skazanych na zagładę oddziałów Custer.

Kiedy Martino wyruszył ze swoją misją, Ben Craig obrócił się w siodle i odprowadził go wzrokiem. Zobaczył, że dwudziestu czterech żołnierzy samowolnie odjeżdża, porzucając pułk. Nikt ich nie zatrzymywał. Craig zerknął na stojącego w oddali generała Custer. Czy nic już nie dociera do tego głupca?

Generał uniósł się w strzemionach, zamachał kremowym kapeluszem nad głową i zawołał do swych żołnierzy.

- Huraaa! Chłopcy, mamy ich!

Były to ostatnie słowa generała, które usłyszał odjeżdżający Włoch i które przytoczył potem podczas śledztwa.

Choć Custer nazywany był przez Indian "Długowłosym", na czas letniej kampanii krótko przyciął swoje kasztanowe kędziory. Być może dlatego później, kiedy padł na ziemię, indiańskie squaw ze szczepu Oglala nie rozpoznały go wśród trupów, a wojownicy nie uznali za wartego

oskalpowania.

Po swoim zagrzewającym do natarcia okrzyku generał Custer spiął konia ostrogami i ruszył pędem, a za nim dwustu dziesięciu pozostałych pod jego komendą żołnierzy. Dalej przed nimi teren opadający ku rzece lepiej nadawał się do przeprowadzenia szarży. Po przebyciu około ośmiuset metrów kolumna skręciła w lewo, by zjechać w dół, przepłynąć się przez rzekę i zaatakować czejeńską wioskę. Jednak w tym właśnie momencie obozowisko dosłownie eksplodowało.

Wojownicy pojawili się zewsząd jak rój szerszeni, pomalowani w wojenne barwy i półnaczy. Wydając swe charakterystyczne, świdrujące okrzyki wojenne ruszyli przez rzekę w bryzgach wody, atakując pięć szwadronów Custer. Żołnierze amerykańscy zamarli w miejscu. Jadący obok Craiga sierżant Lewis ściągnął lejce i znów jęknął głucho: "Słodki Jezu".

Natychmiast po sforsowaniu rzeki Czejenowie zeskakiwali z koni gnając susami przez wysoką trawę, w której co rusz znikali, następnie przebiegali kilka kroków, by zniknąć na nowo. Na kawalerzystów posypały się pierwsze strzały. Jedna wbiła się w bok konia, który zarżał boleśnie i stanął dęba, zrzucając z siebie jeźdźca.

- Z koni! Brać konie na tyły! - wrzasnął Custer.

Nikt nie potrzebował ponownej zachęty. Na wzgórzu nie było do słownie nic, za czym można by się schronić. Ani głazu, ani skały. Po zeskoczeniu z siodeł żołnierze wyznaczeni z każdego szwadronu chwyтали za uzdy po kilka koni i pędzili z nimi poza szczyt wzgórza. Sierżant Lewis zawrócił i pogalopował z powrotem, ciągnąc za sobą konia Craiga. Po chwili zrównali się ze stadem zwierząt nadzorowanych przez dwudziestu kawalerzystów. Wkrótce konie zwietrzyły Indian. Zaczęły parskać, wierzgać i stawać dęba, wyrywając się swoim opiekunom.

Później poszła w świat pogłoska, że tego dnia generała Custer pokonali Siuksowie. Ale to nie była prawda. W rzeczywistości Siuksowie Oglala oddali Czejenom przywilej obrony ich wioski, którą Custer zaatakował jako pierwszą, natomiast sami wspierali ich, okrążając kawalerzystów i odcinając im drogę ucieczki na wzgórze. Siedząc na koniu, Craig widział wyraźnie Indian ze szczepu Oglala, którzy bezszelestnie przemykali w wysokiej trawie to w lewo, to w prawo. Dwadzieścia minut później nie było już najmniejszych szans na odwrót.

Indianie mieli trochę karabinów, a nawet parę starych strzelb skałkowych, ale w sumie niewiele. Głównie razili wroga strzałami, co miało dla nich dwie zalety. Po pierwsze łuki są cichą bronią, w związku z tym nie zdradzają pozycji strzelca. Wielu z kawalerzystów zginęło tego dnia

ze strzałą w piersi, nie ujrawszy nawet napastnika. Po drugie, Indianie mogli wystrzeliwać roje strzał wysoko w górę, tak by spadały na kawalerzystów i ich konie niemal pionowo. W ciągu zaledwie godziny dosięgły one kilkanaście rumaków, które wyrwały się z rąk żołnierzy i pogalopowały w dal. Inne, zupełnie nietknięte, poszły za ich przykładem. Na długo przed śmiercią ostatniego człowieka kawalerzyści utracili wszystkie konie, a wraz z nimi ostatnią nadzieję na ucieczkę.

Lewis i Craig słyszeli zewsząd okrzyki, jęki i modlitwy zabijanych żołnierzy. Jeden z kawalerzystów, jeszcze chłopiec, chlapiąc jak małe dziecko przebił się przez okrażenie i pobiegł na pagórek, licząc na to, że znajdzie tam konia. Cztery strzały utkwiły mu w plecach. Padł na ziemię w drgawkach.

Ben i jego strażnik znaleźli się teraz w zasięgu strzał. Kilka świsnęło tuż obok nich. Poniżej na zboczu znajdowało się jeszcze ze stu żywych kawalerzystów, ale przynajmniej połowa z nich była ranna. Co jakiś czas któryś z indiańskich wojowników, pewnie chcąc zasłużyć na sławę, przejeżdżał galopem tuż przed nosami klęczących żołnierzy prowokując ich do strzału, a ponieważ strzelali w przerażeniu całkiem na oślep, oddalał się cały i zdrowy za to w glorii i chwale, wydając najdziksze okrzyki.

Żołnierze uważali, że są to okrzyki wojenne. Ale Craig wiedział, jaka jest prawda. Okrzyk wydawany przez nacierającego Indianina to okrzyk śmierci. Jego własnej. W ten sposób powierzał on swoją duszę opiece Wszechobecnego Ducha.

Jednak tym, co naprawdę doprowadziło do zguby Siódmy Pułk, był strach przed dostaniem się do niewoli i torturami. Każdy z kawalerzystów znał na pamięć dziesiątki historii o okrutnej śmierci, jaką Indianie rzekomo zadawali swoim jeńcom. Były to przeważnie opowieści wysrane z palca. Indianie z Wielkich Równin nie znali pojęcia jeńca wojennego. Nie mieli gdzie trzymać schwytanych wrogów. Ale przeciwnicy mogli się poddać z honorem. Jeśli jednak walczyli nadal, byli wyrzynani do ostatniego człowieka. Tortury jeńców zdarzały się jedynie w dwóch przypadkach: jeśli rozpoznano kogoś, kto dawniej złożył oficjalną przysięgę, że nie wystąpi nigdy przeciwko Indianom z danego plemienia, lub jeśli ktoś podczas walki splamił się jawnym tchórzostwem. W obu przypadkach jeńiec taki okrywał się zasłużoną hańbą.

Custer był człowiekiem, który niegdyś poprzysiągł Czejenom, że już nigdy nie będzie z nimi walczył. Dwie squaw z tego plemienia, rozpoznawszy go w końcu wśród poległych, wbity mu w uszy stalowe szydła, by następnym razem lepiej słyszał.

Kiedy okrażenie Siuksów i Czejenów zamknęło się, pozostali przy życiu kawalerzyści wpadli w panikę. Nie znano jeszcze amunicji bezdymnej, więc po godzinie pagórek był cały spowity chmurą dymu. Wyskakiwali z niej pomalowani w barwy wojenne wojownicy. Oczami wyobraźni kawalerzyści widzieli prawdziwe piekło. Wiele lat później angielski poeta napisze:

Gdy na afgańskich równinach ranny pozostaniesz,
A kobiety przyjdą dobić twoje szczątki,
Sięgnij po strzelbę i prosto w mózg wymierz,
Byś jak żołnierz odszedł w niebieskie zakątki.

Żaden z tych, którzy jako ostatni pozostali przy życiu, nie miał szansy usłyszeć czegokolwiek o Kiplingu, ale ten pisarz i poeta opisał właśnie to co robili. Do Craiga doszły pierwsze wystrzały z pistoletów, kiedy ranni pozbawiali się życia, by uniknąć potwornych tortur. Spojrzał na sierżanta Lewisa.

Zwalisty żołnierz był blady jak płótno. Było już za późno by uciec drogą, którą tu przybyli. Zaroiło się na niej od Siuksów ze szczepu Oglala.

- Sierzancie, chyba nie pozwoli pan bym skończył spętany jak świnia! - wrzasnął zwiadowca. Lewis wyciągnął nóż i rozciął nim rzemienie, którymi kostki Craiga przywiązane były do popręgu.

Wtedy właśnie, w ułamku sekundy, zdarzyły się trzy rzeczy. Dwie strzały wystrzelone z odległości nie większej niż trzydzieści metrów utkwily w piersi sierżanta. Stojąc jeszcze z nożem w ręku popatrzył na nie ze zdziwieniem, po czym upuścił nóż i runął na twarz.

Jeszcze bliżej z wysokiej trawy wychylił się Siuks. Wycelował ze starego muszkietu skałkowego w Craiga i wystrzelił. Najwyraźniej jednak użył za dużo prochu licząc na to, że zwiększy się zasięg broni. Co gorsza, zapomniał wyciągnąć z lufy stempel. Karabin eksplodował, rozrywając prawą dłoń wojownika.

Stempel wystrzelił z lufy jak harpun prosto w pierś konia, na którym siedział Craig, przebijając mu serce. Kiedy zwierzę padało, Ben wciąż ze związanymi rękami, usiłował zeskoczyć z niego. Wylądował na plecach, uderzył głową o kamień i stracił przytomność.

Nie minęło kilka minut, a ostatni żołnierz na wzgórzu Custer'a był już martwy. Wojownicy Siuksów opowiadali potem, jak to w jednej chwili kilkudziesięciu ostatnich

kawalerzystów wciąż się zażarcie bronilo, a już w następnej Wszechobecny Duch wszystkich ich powalił pokotem. W rzeczywistości większość z nich sięgnęła po swoje strzelby lub colty. Niektórzy zanim strzelili sobie w głowę, wyświadczeni przysługę rannym kolegom.

Kiedy Ben Craig odzyskał przytomność, podniósł jedną powiekę. Leżał na boku, z rękami związanymi za plecami i policzkiem przyciśniętym do ziemi. Tuż przed sobą ujrzał żdźbła trawy. Odzyskując przytomność, usłyszał wokół siebie szybkie i ciche kroki stóp obutych w miękkie mokasyny, podekscytowane głosy i od czasu do czasu triumfalne okrzyki.

Ujrzał gołe nogi w mokasynach migające mu przed oczami. To wojownicy uganiaли się za trofeami. Jeden z nich najwyraźniej dostrzegł, że Craig zamrugał. Rozległ się jeszcze jeden triumfalny okrzyk. Czyjeś silne dłonie szarpnęły zwiadowcę i uniosły do pozycji siedzącej.

Dostrzegł kamienną maczugę, która uniosła się by roztrzaskać mu czaszkę. Przez sekundę siedząc tak i czekając na śmierć, zastanawiał się trzeźwo i spokojnie, co też czeka go po drugiej stronie życia. Ale cios nie nastąpił. Zamiast tego usłyszał władczy głos.

- Poczekaj!

Uniósł wzrok. Mężczyzna do którego ów głos należał, siedział na oklep na koniu stojącym trzy metry dalej. W blasku słońca Ben widział tylko jego sylwetkę. Gęste długie włosy spadały mu na ramiona. Nie miał przy sobie ani dzidy, ani stalowego tomahawka więc z pewnością nie był Czejenem.

Koń, na którym dostojnie siedział przestąpił z nogi na nogę, przesuając się w bok. Słońce zniknęło za plecami wojownika, którego cień padł na twarz Bena. Teraz Craig miał szansę przyjrzeć mu się dokładnie. Koń był płowy, taką maść nazywano złotokozłową. Craig już kiedyś o nim słyszał. Jeździec był niemal całkowicie nagi, miał na sobie jedynie przepaskę biodrową i mokasyny. Ubrany był jak zwykły wojownik, a jednak widać było, że to ktoś ważny. Z jego prawej dłoni zwisała kamienna maczuga. Znak, że był Siuksem.

Znów się odezwał, w narzeczu Siuksów Oglala, które Craig nieźle rozumiał.

- Dlaczego w taki sposób związaliście tę bladą twarz?

- To nie my, wielki wodzu. Kiedy go znaleźliśmy w trawie, był już tak związany.

Spojrzenie ciemnych oczu padło na rzemienie, które wciąż zwisały z kostek Craiga. Siuks siedział przez chwilę na koniu zamyślony. Piersi i barki miał pomalowane w kółka symbolizujące grad, a od linii włosów aż do brody naznaczonej szramą po kuli ciągnęła się czarna błyskawica. Craig już wiedział, że oto spogląda na Szalonego Konia, od dwunastu lat wodza Siuksów Oglala,

którym został w wieku lat dwudziestu sześciu, człowieka szanowanego za odwagę, mistycyzm i wytrwałość.

Znad rzeki powiała wieczorna bryza. Włosy wodza zafalowały, podobnie jak wysoka trawa. Wiatr zdmuchnął piórko z tyłu głowy zwiadowcy, które osiadło mu na barku. Nie umknęło to uwagi Szalonego Konia. Orle pióro było zaszczytnym wyróżnieniem przyznawanym przez Czejenów.

- Niech żyje - powiedział wódz. - Zabierzcie go do Siedzącego Byka, który postanowi o jego losie.

Craig został zmuszony do wstania i zawleczony po zboczu w stronę odległej o osiemset metrów rzeki. Po drodze mógł ocenić ogrom klęski.

Na całym zboczu w bezładnych pozach śmierci leżało dwustu dziesięciu żołnierzy z pięciu szwadronów, pomniejszych o zwiadowców i dezertków. Indianie przeszukiwali ich z chęcią zdobycia łupów, a następnie dokonywali rytualnego zbezczeszczenia zwłok. Czejenowie zwyczajowo wbijali noże w nogi poległych wrogów, by ci nie mogli ich już nigdy dogonić, Siuksowie zaś masakrowali im czaszki i twarze kamiennymi maczugami. Inni odcinali ręce, nogi lub głowy

Po przejściu pięćdziesięciu metrów Craig dostrzegł ciało George'a Armstronga Custer. Poza bawełnianymi skarpetami sięgającymi kostek było ono całkowicie odarte z ubrania. Zwłoki generała nie zostały zbezczeszczone, nie licząc jednak przebitych bębenków usznych. W takim stanie odnajdą je żołnierze Terry'ego.

Z kieszeni i juków kawalerzystów zniknęło dosłownie wszystko: strzelby i pistolety, amunicja, woreczki z tytoniem, zegarki w stalowych kopertach, portfele ze zdjęciami najbliższych, wszystko, co mogło stanowić trofeum.

Nad brzegiem rzeki oczekiwało stado koni. Na jednego z nich wsadzono Craiga i przewieziono wbród na zachodnią stronę. Kiedy jechali przez obóz Czejenów, kobiety wybiegały, by obrzucić przekleństwami bladą twarz, jednak milkły na widok orlego pióra. Przyjaciół to czy zdrajca?

Minawszy kolejne obozowiska, dotarli do namiotów plemienia Hunkpapa. Panował tu nieopisany zgiełk.

Wojownicy Hunkpapa nie mieli okazji stanąć twarzą w twarz z kawalerzystami generała Custer. Starli się za to z ludźmi majora Reno. W tym momencie resztki szwadronów, obleżone

wraz z żołnierzami Benteena i jucznymi mułami na pagórku, wciąż jeszcze odpierały ataki Indian, nie mogąc pojąć dlaczego Custer nie przybywa im na odsiecz.

Wojownicy Czarnych Stóp i Hunkpapa galopowali po obozie w tę i z powrotem, wymachując trofeami zdobytymi na żołnierzach majora Reno. Tu i ówdzie przed oczami Craiga mignął skalp. Otoczeni przez rozwrzeszczane squaw, zebrali się pod namiotem wielkiego szamana i sędziego Siedzącego Byka.

Eskortujący Craiga wojownicy przekazali rozkaz Szalonego Konia i oddali jeńca, poczym wrócili w stronę zbocza, by nadal poszukiwać łupów.

Bena wepchnięto do tipi i zostawiono pod strażą dwóch starych squaw z nożami w dłoniach.

Było już ciemno, kiedy przyszło kilkunastu wojowników. Wyciągnęli Craiga z tipi. W świetle rozpalonych ognisk pomalowane ciała Indian wyglądały przerażająco. Na szczęście opadło już pobitewne podniecenie, choć dobiegające od czasu do czasu z oddali, zza rzeki, strzały dowodziły, że Siuksowie wciąż usiłują zdobyć oblężone wzgórze, trzymane przez żołnierzy majora Reno.

Podczas całej bitwy, po obu stronach wielkiego obozu, zginęło jedynie trzydziestu jeden Siuksów. Tu i ówdzie wdowy i matki zawodziły nad ciałami mężów i synów, przygotowując ich do Wielkiej Podróży.

W samym środku obozowiska Indian Hunkpapa płonęło największe ognisko. Wokół niego zgromadziło się dwunastu wodzów, wśród których najwyższy rangą był Siedzący Byk. Miał wówczas czterdzieści dwa lata, ale sprawiał wrażenie starszego, a w blasku ogniska jego mahoniowa twarz wydawała się jeszcze ciemniejsza i jeszcze bardziej pobrużdżona.

Craiga rzucono na ziemię kilka metrów dalej w lewo, by ogień nie zasłaniał wodom jego widoku. Wszyscy wbili w niego wzrok. Siedzący byk wydał polecenie, którego Ben nie zrozumiał. Jeden z wojowników wyciągnął nóż z pochwy i zaszedł go od tyłu. Craig pomyślał, że zaraz dosięgnie go śmiertelny cios, tymczasem ostrze noża przecięło sznur kępujący jego nadgarstki. Zdał sobie sprawę, że nie czuje rąk. Jednak po chwili krew zaczęła znów do nich napływać, wywołując ostre mrowienie a następnie ból. Mimo to żaden mięsień nie drgnął mu na twarzy.

Siedzący Byk znów przemówił, tym razem wprost do niego. Choć Craig nie zrozumiał ani słowa, odpowiedział w narzeczu Czejenów. Wśród zgromadzonych rozległ się szmer zdziwienia.

Głos zabrał jeden z pozostałych wodzów, Czejen Dwa Księżyce.

- Wielki Wódz pyta, dlaczego wasichu przywiązali cię do konia i skrępowali ci ręce za plecami.

- Popeliłem przestępstwo przeciwko nim - odparł zwiadowca.

- Czy to było poważne przestępstwo? - spytał Dwa Księżyce, który tłumaczył jego słowa już do końca przesłuchania.

- Wódz granatowych kurtek zamierzał mnie powiesić. Jutro.

- Co takiego im zrobiłeś?

Craig zastanowił się. Czy to zaledwie wczorajszego ranka sierżant Braddock zniszczył namioty Wysokiego Łosia? Rozpoczął swą odpowiedź od tego zdarzenia i zakończył na wyroku śmierci przez powieszenie. Zauważył, że gdy wspominał obóz Wysokiego Łosia, Dwa Księżyce kiwnął potakująco głową. Po każdym zdaniu Ben robił przerwę, pozwalając, by czejeński wódz przetłumaczył je Siuksom. Kiedy skończył, nastąpiła krótka narada, z której dobiegały go tylko ściszone szepty. Po chwili Dwa Księżyce wezwał jednego ze swoich wojowników.

- Pojedź do naszego obozu. Przywieź tu Wysokiego Łosia i jego córkę.

Wojownik podbiegi do konia przywiązanego w pobliżu, wsiadł na niego i odjechał, a Siedzący Byk wznowił przesłuchanie.

- Dlaczego przyjechałeś tu, by walczyć z czerwonoskórymi?

- Powiedziano mi, że wojsko wyrusza by odprowadzić Siuksów do rezerwatów w Dakocie. Nie było w ogóle mowy o zabijaniu, aż do czasu gdy Długowłosa oszalał.

Wodzowie znów zaczęli się naradzać.

- Długowłosa był tutaj? - spytał Dwa Księżyce.

Po raz pierwszy Craig zdał sobie sprawę, że ci Indianie nie wiedzieli nawet z kim stoczyli walkę.

- Znajdziecie go na wzgórzu po drugiej stronie rzeki. Nie żyje.

Ponownie nastąpiła krótka wymiana opinii, a następnie zapadła cisza. Narada to poważna rzecz i nie ma powodów do pośpiechu. Upłynęło aż pół godziny, nim odezwał się Dwa Księżyce.

- Dlaczego nosisz we włosach białe pióro orla?

Craig wyjaśnił mu. Dziesięć lat wcześniej, kiedy był zaledwie czternastolatkiem, przyłączył się do bandy czejeńskich nastolatków polujących w górach. Wszyscy uzbrojeni byli w łuki i strzały. Wszyscy oprócz Craiga, który miał starą strzelbę Donaldsona. Pewnego dnia

zaskoczył ich stary niedźwiedź grizzly, niebezpieczny weteran starć z ludźmi, któremu wyleciały już prawie wszystkie zęby, ale wciąż miał ogromną krzepę w łapach i zdolny był zabić człowieka jednym uderzeniem.

W tym momencie wojownik stojący za wodzem Dwa Księżycy zasygnalizował, że chciałby coś wtrącić.

- Pamiętam dobrze tę historię. To zdarzyło się w wiosce mojego kuzyna.

Przy płonącym ognisku nie ma nic lepszego niż ciekawa opowieść. Poproszono wojownika, by ją dokończył. Siuksowie wyciągnęli szyje, a Dwa Księżycy tłumaczył.

- Niedźwiedź był wielki jak góra i nadbiegł bardzo szybko. Młodzi Czejenowie rozbiegli się i schowali między drzewami. Ale mały wasichu wycelował starannie i wystrzelił. Pocisk przeleciał tuż pod pyskiem bestii i wbił się w pierś. Niedźwiedź uniósł się na tylne łapy, wysoki jak sosna i choć życie z niego uchodziło, wciąż nacierał. Biały chłopiec wyciągnął łuskę i włożył drugi nabój. Wystrzelił jeszcze raz. Wcelował prosto w otwarty pysk ryczącego zwierza i rozwalił mu mózg. Niedźwiedź zrobił jeszcze jeden krok i padł na ziemię tak blisko chłopca, że obryzgał śliną i krwią jego kolana. Ale on nawet nie drgnął. Jeden z młodych Czejenów pobiegł z wiadomością do wioski. Wkrótce pojawili się wojownicy z toboganem, by obedrzeć bestię ze skóry, z której zrobiono śpiwór dla ojca mojego kuzyna. Potem urządzili ucztę i nadali białemu chłopcu imię Nieustraszony Pogromca Niedźwiedzi. Wręczyli mu też pióro orła należne wielkiemu myśliwemu. Tak opowiadali w mojej wiosce sto księżyców temu, zanim przenieśliśmy się do rezerwatu.

Wodzowie pokiwali głowami z aprobatą. To naprawdę ciekawa opowieść.

Tymczasem nadjechała grupa jeźdźców. Jeden z koni ciągnął tobogan, na którym leżała młoda dziewczyna. W świetle ogniska pojawili się dwaj mężczyźni, których Craig wcześniej nie widział. Po ubraniu i splecionych w warkocze włosach poznał, że są Czejenami. Jednym z nich był Mały Wilk, który opowiedział jak w czasie polowania w wschód od rzeki zobaczył kłęby dymu unoszące się nad Rosebud. Kiedy tam dotarł, znalazł ciała zamordowanych kobiet i dzieci.

Drugim był Wysoki Łoś. Powrócił do wioski już po przejściu głównej kolumny kawalerzystów. Oplakiwał właśnie swoich krewnych, kiedy pojawiła się jego córka. Wraz z dziewięcioma innymi wojownikami jechali całą noc i cały dzień, by odnaleźć obozowisko Czejenów. Dotarli do niego tuż przed bitwą, w której z zapalem wzięli udział. Przyznał, że szukał śmierci na wzgórzu Custer, ale Wszechobecny Duch postanowił widać inaczej.

Jako ostatnia przemówiła dziewczyna leżąca na toboganie. Była blada, cierpiąca z powodu rany i wycieńczona długą podróżą, ale mówiła wyraźnie i składnie.

Opowiedziała o masakrze i o postawnym mężczyźnie z paskami na ramieniu. Nie rozumiała jego języka, ale zorientowała się co zamierza z nią uczynić zanim ją zabije. Opowiedziała jak jeden z nich, ten w skórzanym ubraniu, wsadził ją na konia i powiedział by wracała do swoich.

Wodzowie naradzili się. Sentencję wygłosił Siedzący Byk, ale był to zgodny wyrok wszystkich. Wasichu będzie żyć, ale nie może wrócić do białych ludzi. Albo by go zabili, albo zmusili do wyjawienia pozycji Siuksów. Zostanie oddany pod nadzór Wysokiego Łosia, który może go traktować według własnego uznania, jak więźnia lub jak gościa. Wiosną będzie mógł odejść albo pozostać z Czejenami.

Wokół ogniska przeszedł szmer aprobaty z jaką wśród wojowników spotkał się ten werdykt. Craig w towarzystwie Wysokiego Łosia pojechał na koniu do tipi, które mu przydzielono i spędził noc w towarzystwie dwóch strzegących go wojowników. Rano Indianie zwinęli obozowisko i wyruszyli na południe.

Wysoki Łoś nie tylko przyjął Craiga do swojej rodziny, lecz również był dla niego wyjątkowo hojny. Pozwolił mu wybrać jednego spośród czterech schwytanych koni kawalerzystów, które ocalały. Indianie z Wielkich Równin niezbyt cenili sobie rumaki białych ludzi. Woleli własne, bardziej wytrzymałe. Craig wybrał potężną, długonogą kasztankę i nadał jej imię Rosebud - od rzeki, nad którą spotkał Szepczący Wiatr.

Nie było problemu ze znalezieniem dobrego siodła, ponieważ Indianie nigdy ich nie używali. Odszukano też i zwrócono mu jego strzelbę Sharpsa oraz nóż. Z juków swojego martwego konia Craig wyciągnął amunicję. Nie było już czego szukać na miejscu masakry. Indianie zabrali wszystko, co miało w ich oczach jakąkolwiek wartość. Nie interesowały ich natomiast zupełnie papiery białych ludzi. Białe kartki trzepotały na wietrze wśród wysokiej trawy w miejscu, gdzie je porzucono. Był wśród nich protokół kapitana Williama Cooke'a z pierwszego przesłuchania.

Indianie ruszyli wkrótce po dwunastej w południe. Pozostawili za sobą swoich martwych ułożonych w namiotach, pomalowanych na podróż w zaświaty, w ich najlepszej odzieży i pióropuszcach określających rangę. Zgodnie z tradycją, wszystkie należące do nich przedmioty rozrzucano na ziemi.

Kiedy na to obozowisko zmarłych natkną się następnego dnia przybyli z północy żołnierze generała Terry'ego dojdą do wniosku, że Czejenowie i Siuksowie odjechali w popłochu. Ale prawda była inna. Rozrzucanie przedmiotów na ziemi wynikało z ich tradycji, a nie pośpiechu,

CHOĆBY nawet Indianie z Wielkich Równin przysięgali, że ich celem było polowanie a nie walka, to Craig wiedział doskonale, że armia wyliże się z odniesionych ran i będzie szukać zemsty. Zdawali sobie z tego sprawę także członkowie wielkiej rady, której przewodził Siedzący Byk. W ciągu kilku dni ustalono, że poszczególne plemiona powinny dla własnego bezpieczeństwa rozdzielić się na małe grupy i rozpiezchnąć po okolicy.

Craig odjechał z ocalałymi członkami rodu Wysokiego Łosia. Spośród dziesięciu myśliwych, którzy utracili swoje kobiety nad brzegiem Rosebud, dwaj zginęli nad Little Big Horn, a kolejni dwaj odnieśli poważne obrażenia. Jeden, z niewielką raną w boku, postanowił pojechać z resztą rodziny. Drugiego, któremu kula wystrzelona z niewielkiej odległości przeszła bark, wieziono na toboganie. Wysoki Łoś i pozostających pięciu wojowników zamierzali znaleźć sobie nowe żony. Aby to było możliwe, przyłączyli się do dwóch innych rodów, tworząc klan składający się z blisko sześćdziesięciu mężczyzn, kobiet i dzieci.

Kiedy dotarło do nich polecenie rozdzielenia się, zaczęli radzić dokąd się udać. Większość opowiadała się za ruszeniem na południe do Wyoming, aby znaleźć kryjówkę w górach Big Horn. Spytano Craiga, co o tym sądzi.

- Granatowe kurtki tam przyjdą - odparł. Patykiem nakreślił linię oznaczającą rzekę Big Horn. - Będą was szukać tu na południu i tu na wschodzie. Ale ja znam pewne miejsce na zachodzie. To góry Pryor. Wychowałem się tam.

Opowiedział im o tych górach.

- W niższych partiach jest mnóstwo zwierzyny. Lasy są gęste, a drzewa zasłaniają dym unoszący się znad ognisk. Strumienie i jeziora pełne są ryb. Biali ludzie nigdy się tam nie zapuszczają.

Wszyscy wyrazili zgodę. Pierwszego lipca odłączyli się od reszty Czejenów i prowadzeni przez Craiga, podążyli na północny zachód do południowej Montany. W połowie miesiąca dotarli do gór Pryor, gdzie było rzeczywiście tak jak to opisał Craig.

Osłoniętych drzewami tipi nie było widać z odległości kilometra. Z pobliskiego skalistego

wzgórza, które dziś nosi nazwę Crown Butte, wartownicy obejmowali wzrokiem okolicę w promieniu wielu kilometrów, lecz ani razu nie dostrzegli człowieka. Myśliwi przynosili do obozu upolowane jelenie i antylopy, a dzieci wyławiały z wody tłuste pstrągi.

Szepczący Wiatr była młoda i zdrowa. Rana zagoiła się szybko i wkrótce znów mogła biegać jak łania. Czasami Craig napotykał jej ukradkowe spojrzenie, kiedy przynosiła mężczyznom strawę, a wtedy serce zaczynało mu walić jak młotem. Dziewczyna nigdy nie dała mu poznać swoich uczuć, spuszczać wzrok na ziemię ilekroć zorientowała się, że ją obserwuje. Ben nie mógł więc wiedzieć, że czasami czuła palące gorąco a żebra mało nie pękały pod uderzeniami serca, gdy odwracała spojrzenie od jego błękitnych oczu.

Z początkiem jesieni byli już w sobie zakochani bez pamięci.

Zauważyły to kobiety. Ilekroć Szepczący Wiatr zanosila mężczyznom jedzenie, wracała z rumieńcem na twarzy i falującą tuniką na piersi. Starsze squaw chichotały po cichu. Zastanawiały się, który to z wojowników sprawił, że dziewczyna cała aż płonie.

We wrześniu opadły liście więc przenieśli obóz wyżej, pomiędzy drzewa iglaste. Wraz z nadejściem października noce stały się bardzo chłodne. Mimo to zwierzyny łownej było w bród, a konie pasły się resztkami trawy, którą wkrótce miały zastąpić mchy, kora i porosty.

Gdyby Szepczący Wiatr miała matkę, ta być może porozmawiałaby z Wysokim Łosiem i pomogła go przekonać, ale ponieważ straciła ją w końcu zdecydowała się sama zwrócić do ojca. Nawet nie podejrzewała, że wywoła aż taki wybuch wściekłości.

Jak mogła o czymś takim choćby pomyśleć? Biali ludzie wymordowali jej prawie całą rodzinę. A ten człowiek wróci kiedyś do swoich, gdzie dla niej nie będzie nigdy miejsca. Co więcej Krocząca Sowa, który otrzymał postrzał w bark nad Little Big Horn, już prawie całkowicie wrócił do zdrowia. A do tego jest dobrym, odważnym wojownikiem. To jemu Szepczący Wiatr jest przeznaczona. Ogłoszą to jutro. Koniec dyskusji.

Wysoki Łoś poczuł się na serio zaniepokojony. A jeśli biały człowiek czuje do niej to samo, co ona do niego? Trzeba go będzie mieć na oku dzień i noc. Na tym sprawa stanęła.

Craiga przeniesiono do drugiego tipi zajmowanego przez inną rodzinę. W tym samym namiocie mieszkało trzech samotnych wojowników. Mieli go pilnować, gdyby próbował wymykać się nocami.

Przyszła po niego pod koniec października. Leżał właśnie rozmyślając o niej, kiedy ostrze noża bezgłośnie przecięło skórę tipi. Podniósł się z posłania najciszej, jak tylko potrafił i wyszedł

na zewnątrz. Stała opromieniona światłem księżycy i patrzyła mu w oczy.

Padli sobie w ramiona po raz pierwszy, czując jak przepływa między nimi fala gorąca.

Wreszcie Szepczący Wiatr uwolniła się z jego objęć, zawróciła na pięcie i ruszyła przed siebie. Ben Craig podążył za nią między drzewami na matą polankę niewidoczną z obozu. Jego kasztanka Rosebud miała już na grzbiecie siodło, do którego z tyłu przytroczony był zrolowany śpiwór z bawolej skóry. Strzelba spoczywała w futerale, a juki wypełnione były zapasami żywności i amunicji. Obok stał indiański koń, srokacz.

- Zabierz mnie w swoje góry, Benie Craigu i uczynj swoją kobietą - wyszeptała mu do ucha.

- Teraz i na zawsze. Szepczący Wietrze.

Wskoczyli na konie i ruszyli powoli między drzewami aż wydostali się z lasu, a potem minęli wzgórze obserwacyjne i pognali w stronę równin. O wschodzie słońca znaleźli się ponownie u stóp gór. Gdy zrobiło się jasno, niewielka grupa Indian z plemienia Kruków dojrzała ich z oddali, po czym skręciła na północ w stronę Fort Ellis leżącego na szlaku Bozemana.

Nad ranem Czejenowie ruszyli w pogoń za uciekinierami. Było ich sześciu. Posuwali się szybko, ich konie bowiem nie były obciążone. Karabiny mieli zawieszane za plecami, toporki przytroczone do pasa, a pod sobą derki. Mieli też rozkazy. Wybranek Kroczącej Sowy przywiozła całą i zdrową. Wasichu miał zginąć.

Grupka Kruków pędziła co tchu na północ. Jeden z nich był latem zwiadowcą pod Custerem i wiedział, że granatowe kurtki wyznaczyły wysoką nagrodę za białego renegata. Na tyle wysoką, by starczyła na zakup wielu koni i cennych przedmiotów.

Trzydzieści kilometrów na południe od Yellowstone natknęli się na niewielki patrol kawalerii dowodzony przez porucznika. Były zwiadowca opowiedział, kogo zauważyli. Posługiwał się głównie gestami, ale porucznik zrozumiał. Skierował swój patrol na południe w stronę gór. Kruki miały mu towarzyszyć w charakterze przewodników, wyszukując skrótów.

Tego lata wieść o masakrze dokonanej na żołnierzach generała Custer'a obiegła całą Amerykę. Czwartego lipca 1876 roku najpotężniejsi ludzie kraju zebrali się daleko na wschodzie w Filadelfii, mieście braterskiej miłości, by uczcić setną rocznicę uzyskania niepodległości. Nie byli w stanie uwierzyć wieściom z zachodniego pogranicza. Zarządzono wszczęcie dochodzenia.

Po bitwie żołnierze generała Terry'ego przeczesali dokładnie zbocze fatalnego wzgórza, poszukując czegokolwiek co rzuciłoby światło na przyczyny katastrofy. Przesłuchano żołnierzy

majora Reno lecz ci nie wiedzieli nic więcej nad to, że po raz ostatni widzieli generała Custer a i jego ludzi kiedy odłączali się od nich przed bitwą.

Zebrano i zabezpieczono wszystko, co znaleziono na wzgórzu. Poszukiwania trwały nawet w czasie, kiedy pośpiesznie zakopywano rozkładające się ciała. Pomędzy zebranymi dowodami znajdował się protokół spisany przez kapitana Cooke'a.

Nikt z tych, którzy stali przy Custerze w trakcie przesłuchania Bena Craiga nie został przy życiu, ale zapiski adiutanta wystarczyły. Armia pilnie potrzebowała wytłumaczenia klęski. Wreszcie je znaleźli: ktoś ostrzegł dzikusów. Custer wpadł w gigantyczną pułapkę. Co więcej, w ten sposób armia zyskała też kozła ofiarnego. Wyznaczono nagrodę w wysokości tysiąca dolarów za zwiadowcę. Żywego lub martwego.

Konie porucznika były wypoczęte po nocy, nakarmione i napojone, a jego ludzie wyspani. Kazał więc im pędzić na południe na złamanie karku. Stawką była jego dalsza kariera.

Tuż po wschodzie słońca Craig i Szepczący Wiatr dotarli do przełęczy rozdzielającej główny masyw gór Pryor od pojedynczego szczytu zwanego Pryorem Zachodnim. Minęli ją, obeszli Pryor Zachodni u jego podnóża i przedostali się na ciągnące się przez osiemdziesiąt kilometrów na zachód pustkowie, poznaczone trawiastymi pagórkami i wąwozami.

W oddali Craig widział swój pokryty lodem cel, połyskujący na tle błękitnego nieba. Kierował się do krainy Absaroka, gdzie jako dziecko polował z Donaldsonem. Była to straszna i dzika okolica, porośnięta puszcza i pełna skalistych płaskowyżów, po których mało kto potrafił się poruszać, wznoszących się w kierunku górskiego pasma Beartooth. Tam wystarczyłaby jedna dobra strzelba, by powstrzymać całą armię. Zatrzymali się nad małą rzeczką, by napoić spocone konie, po czym ruszyli dalej w kierunku szczytów górskich.

TRZYDZIEŚCI kilometrów za nimi sześciu wojowników, bacznie wypatrujących śladów stalowych podków na ziemi posuwało się w niezbyt forsownym tempie, by nie zmęczyć nadto koni.

Pięćdziesiąt kilometrów na północ patrol kawalerzystów pędził w kierunku południowym, również poszukując śladów uciekinierów. W południe zwiadowcy z plemienia Kruków nagle zwolnili i zaczęli krążyć, wpatrując się w skrawek wysuszonej słońcem ziemi. Pokazali palcami ślady podków i niepodkutych kopyt. Nieco dalej natknęli się na odciski w ziemi kopyta pięciu lub sześciu indiańskich koni.

- Czyli mamy konkurencję - mruknął porucznik. - Nieważne.

Popędził swoich ludzi dalej na zachód, choć ich wierzchowce były już zmęczone. Kiedy pół godziny później wspięli się na szczyt wzgórza, wyciągnął lunetę i rozejrzał się po okolicy. Dojrzał tuman kurzu, a pod nim sześć maleńkich postaci ludzkich jadących niespiesznie na koniach w stronę gór.

Czejeńscy wojownicy napoiли konie w Bridger Creek, w pobliżu miejsca gdzie dziś znajduje się wieś Bridger i zatrzymali się z zamiarem półgodzinnego odpoczynku. Jeden z nich, przycisnąwszy ucho do ziemi usłyszał tętent kopyt dochodzący z tyłu, dosiedli więc koni i pojechali dalej. Po przebyciu półtora kilometra dowodzący grupką Indianin skrzył w bok, polecił wszystkim schować się za pagórkami, a sam wspiął się ostrożnie na jego szczyt by się rozejrzeć. Dostrzegli żołnierzy na koniach.

Po dotarciu do rozstaju dróg patrol kawalerzystów zatrzymał się. Zwiadowcy z plemienia Kruków zeskoczyli na ziemię i zaczęli szukać śladów. Czejenowie widzieli wyraźnie, że pokazują na zachód. Po chwili patrol ruszył w tamtym kierunku.

Czejenowie podążali równolegle z nimi, śledząc kawalerzystów tak jak Mały Wilk śledził generała Custer'a wzdłuż brzegów Rosebud. Jednak późnym popołudniem Kruki dostrzegły ich.

- To Czejenowie - powiedział jeden ze zwiadowców. Porucznik wzruszył ramionami.

- Ach, nieważne. Niech sobie polują. My ścigamy naszą własną zwierzynę.

Obie grupki posuwały się naprzód aż do zmierzchu. Kiedy słońce dotknęło szczytów gór, trzeba było dać koniom odpocząć. Po za tym teren robił się coraz trudniejszy, a szlak coraz mniej widoczny. W ciemnościach dalsza podróż była zupełnie niemożliwa.

JADĄCY piętnaście kilometrów przed nimi Ben Craig doszedł do identycznego wniosku. Rosebud była silną, wytrzymałą klaczą ale przebyła tego dnia osiemdziesiąt kilometrów po nierównym terenie dźwigając na sobie nie tylko jeźdźca, lecz również bagaż. Po za tym Szepczący Wiatr nie była przyzwyczajona do długich podróży na grzbiecie konia i opadła z sił. Zatrzymali się przy rzeczce Bear Creek, na południe od dzisiejszego miasteczka Red Lodge, ale nie rozpalali ogniska z obawy, że ktoś mógłby ich dostrzec.

Nocą temperatura gwałtownie spadła. Otulili się śpiworem z bawolej skóry, a kilka sekund później dziewczyna już spała. Craig trzymał straż przy swej ukochanej.

Choć nikt ich nie niepokoił, Ben wstał przed świtem. Zjedli w pośpiechu nieco suszonego

mięsa antylopy i parę kawałków chleba kukurydzianego, który Szepczący Wiatr zabrała z ojcowskiego tipi. Umyli się w rzeczce i odjechali. Craig zdawał sobie sprawę, że Czejenowie na pewno są już na ich tropie. To, co zrobił, było przecież niewybaczalne. Nie miał natomiast pojęcia, że ściga ich również patrol kawalerii.

Teren stawał się teraz coraz trudniejszy, wolniej się też posuwali. Po dwóch godzinach spędzonych w siodle uciekinierzy dotarli do zbiegu dwóch strumieni. Z lewej, wprost z gór spływał spieniony Rock Creek. Craig ocenił, że nie da się go przekroczyć. Przed nimi zaś płynął West Creek, płytszy i o mniej najeżonym kamieniami dnie. Ben zeskoczył z konia, przywiązał lejce konia dziewczyny do własnego siodła i poprowadził Rosebud za uzdę.

Podążyli w stronę Rock Creek, weszli do wody, po czym zawrócili po własnych śladach i przeszli trzy kilometry korytem drugiego potoku. Kiedy wydostali się na brzeg, Craig poprowadził konie w gęstą puszcze.

Rosła ona na stromym zboczu. Przez kłębowisko gałęzi nie docierały do nich promienie słońca, czuli więc przejmujący chłód. Szepczący Wiatr, otulona derką, jechała powoli na oklep.

Tymczasem pięć kilometrów za nimi patrol kawalerii dotarł do rzeki i zatrzymał się. Kruki wskazały palcami ślad, który wiódł w górę Rock Creek. Po krótkiej naradzie z sierżantem porucznik wydał rozkaz ruszenia tym fałszywym tropem. Kiedy zniknęli z pola widzenia, w to samo miejsce dotarli Czejenowie. Nie musieli wchodzić do wody, by zacierać swoje ślady. Ale podobnie jak Craig wybrali prawy strumień West Creek i ruszyli jego brzegiem, wypatrując śladów końskich kopyt, wychodzących z wody i wiodących w stronę gór.

Trzy kilometry dalej natrafili na takie ślady. Podążając za nimi skręcili w puszcze.

W południe Craig dotarł na ogromny, otwarty, skalny płaskowyż zwany Silver Run, który rozciągał się aż do gór. Choć nawet tego nie wiedział, znajdowali się na wysokości trzech tysięcy trzystu metrów nad poziomem morza.

Z krawędzi płaskowyżu mógł objąć wzrokiem płynący w dole strumień, z którego skręcili w puszcze. Na prawo w miejscu, w którym zbiegały się oba potoki, zauważył maleńkie postacie. Nie byli to jednak Czejenowie, lecz dziesięciu żołnierzy oraz czterech zwiadowców z plemienia Kruków. Wracali właśnie wzdłuż Rock Creek, uświadomiwszy sobie, że zostali wyprowadzeni na manowce. Dopiero w tym momencie Ben Craig zrozumiał, że armia wciąż go ściga za uwolnienie młodej Czejenki.

Wyciągnął strzelbę z futerału, włożył do niej nabój, ustawił celownik na największą

odległość i wycelował w konia oficera. “Bierz na cel konia - mawiał mu zawsze stary Donaldson. - W tej krainie człowiek bez konia wiele nie zdziała”.

Huk odbił się echem po górach jak grzmot pioruna. Pocisk trafił konia porucznika w prawą łopatkę. Rumak upadł bezwładnie, a oficer poleciał na ziemię razem z nim.

Żołnierze rozpięzchli się w stronę lasu, poza sierżantem, który dobił rannego konia, a następnie wciągnął porucznika między drzewa. Jednak dalsze strzały nie padły.

Tymczasem Craig przeciął derkę na cztery kawałki i obwiązał nimi kopyta Rosebud. Zdawał sobie sprawę, że materiał nie wytrzyma dość długo w zetknięciu z metalową podkową i skalistym podłożem ale liczył na to, że zatrze ślady kopyt na odcinku przynajmniej pięciuset metrów. Ruszyli teraz na południe, wciąż w stronę szczytów górskich.

Przejście płaskowyżu Silver Run oznacza pokonanie ośmiu kilometrów w zupełnie otwartym terenie. Po trzech kilometrach Craig obejrzał się za siebie i dostrzegł maleńkie postacie wchodzące właśnie na skalistą płytę. Popędził konie. Byli zbyt daleko, by prześladowcy mogli ich złapać lub dosięgnąć kulą. Kilka minut później w oddali pojawiły się kolejne postacie, półtora kilometra na wschód od Czejenów. Kawalerzyści. W pewnej chwili uciekinierzy dotarli do wąwozu. Craig nigdy nie zapuszczał się tak daleko. Nie miał pojęcia o jego istnieniu.

Lake Fork był stromy i wąski, o zboczach porośniętych sosnami. Jego dnem płynął lodowaty strumień. Poszli skrajem wąwozu szukając miejsca, w którym dałoby się bezpiecznie przejść na drugi brzeg. Craig znalazł je wreszcie w cieniu góry Thunder, ale zabrało im to pół godziny.

Z ogromnym trudem zeszli na dno wąwozu i wspięli się na kolejny, ostatni już płaskowyż skalny zwany Hellroaring. Gdy tylko wynurzyli się na krawędź zbocza, kula świsnęła Craigowi koło ucha. Nie tylko stracili przewagę nad goniącymi ich prześladowcami, ale też pokazali im drogę na drugą stronę parowu.

Przed nimi, aż do stromych szczytów góry Rearguard, rozciągał się pięciokilometrowy płaskowyż. W rozrzedzonym powietrzu oddychali z trudem, podobnie jak ich konie. Wkrótce zapadnie zmierzch, a wtedy znikną swym prześladowcom z pola widzenia między szczytami i turniami gór Rearguard, Sacred i Beartooth. Tam już żaden człowiek nie odnajdzie śladów uciekinierów. Za górą Sacred znajdował się dział wodny, a za nim teren opadał aż do samego Wyoming. Opuszczą wrogi im świat, pobiorą się, zamieszkają na odludziu i będą żyć w szczęściu aż do śmierci.

O zmierzchu Ben Craig i Szepczący Wiatr rozpoczęli wspinaczkę po zboczu góry i dotarli do miejsca, gdzie biel szczytów nigdy nie ustępuje. Tam znaleźli rozległą i płaską półkę skalną, długą na pięćdziesiąt metrów i szeroką na dwadzieścia, a na jej końcu głęboką pieczarę. Wejście zasłaniało kilka ostatnich na tej wysokości sosen.

Craig wrzucił siodło i ostatnią pozostałą derkę do pieczary, ułożył strzelbę na ziemi, po czym rozpostarł bawołą skórę u wejścia. Oboje ułożyli się na niej i przykryli drugą częścią. W takim kokonie szybko zrobiło im się ciepło. Craig poczuł, że dziewczyna przytuliła się do niego.

- Ben, uczyni mnie swoją kobietą - wyszeptwała. - Zrób to teraz.

Zaczął podciągać skórzaną tunikę, odsłaniając rozpalone ciało.

- To, co robicie, jest z gruntu złe.

Na tej wysokości w górach panuje absolutna cisza, więc choć te słowa w języku Czejenów wypowiedział głos stary i drżący, usłyszeli je wyraźnie.

W jednej sekundzie półnagi Ben Craig dopadł do wejścia pieczary i chwycił strzelbę.

Pod sosnami, ze skrzyżowanymi nogami, siedział bardzo stary mężczyzna. Siwe włosy zwisały mu do nagich bioder, a twarz miał ciemną i pomarszczoną. Zadziwiający był nie tylko jego wiek, lecz również niezwykle uduchowanie. Był szamanem, który w poszukiwaniu wizji przybył w to odludne miejsce by pościć, medytować i dostąpić oświecenia.

- Co powiedziałaś, święty mężu? - spytał nieśmiało Ben Craig, zwracając się do niego honorowym tytułem, zarezerwowanym wyłącznie dla starców bardzo wiekowych i bardzo mądrych. Nie miał pojęcia, skąd szaman tu przybył. Trudno było pojąć, jak mógł wytrzymać na takim mrozie bez ciepłej odzieży. Craig wiedział jednak, że niektórzy mistycy potrafią rzucić wyzwanie wszelkim znanym prawom przyrody.

Poczuł dotyk ukochanej, która stanęła obok niego u wejścia do pieczary.

- To jest złe nie tylko w oczach człowieka, lecz również w oczach Meh-y-yaha, Wszechobecnego Ducha - powiedział starzec.

Księżyc jeszcze nie wzeszedł, lecz gwiazdy na bezchmurnym niebie były tak jasne, że cała skalista półka zalana była bladym światłem. Craig dostrzegł jego odbicie w starych oczach, które wpatrywały się w niego spod drzew.

- Dlaczego, święty mężu?

- Ona jest przyrzeczona innemu, który walczył dzielnie z bladymi twarzami. To człowiek wielkiego honoru. Nie zasłużył na takie traktowanie.

- Ale ona jest moją kobietą.

- I będzie twoją kobietą, człowieku gór. Ale jeszcze nie teraz. Przemawia przeze mnie Wszechobecny Duch. Dziewczyna powinna powrócić do swoich i tego, któremu została już przeznaczona. Jeśli tak zrobi, pewnego dnia znów się spotkacie, a wtedy ona będzie twoją kobietą, a ty jej mężczyzną. Na zawsze. Tak mówi Meh-y-yah.

Starzec sięgnął po leżący obok niego kij i wspierając się na nim, powstał. Odwrócił się plecami do nich i powoli odszedł, aż wreszcie zniknął im z oczu.

Szepczący Wiatr podniosła oczy na Craiga. Po policzkach płynęły jej łzy, które zamarały, zanim zdążyły dotrzeć do drżącego od płaczu podbródka.

- Muszę wracać do swoich. Takie jest moje przeznaczenie.

Nie było już sensu się spierać. Craig przygotował jej konia, podczas gdy Szepczący Wiatr wsuwała na nogi mokasyny i otulała się derką. Wziął ją w ramiona po raz ostatni i pomógł wsiąść na grzbiet srokacza, po czym podał jej cugle. Milcząc, skierowała konia w dół zbocza.

- Wietrze, Który Szepczesz Cicho! - zawołał za nią Craig. Odwróciła głowę i spojrzała na niego w blasku gwiazd.

- Kiedyś jeszcze będziemy razem! Tak zostało powiedziane. Do póki trawa rośnie, a rzeki płyną, będę na ciebie czekać!

- A ja na ciebie, Benie Craigu.

Kiedy zniknęła w ciemnościach, Craig wpatrywał się w niebo tak długo, aż przemarzył do szpiku kości. Potem wprowadził Rosebud do pieczary i przyniósł jej kilka garści sosnowych szpilek. Przesunął skórę w głąb jaskini, otulił się nią i zasnął.

Księżyc znalazł się wysoko na niebie. Szepczący Wiatr dostrzegła dwa ogniska płonące poniżej krawędzi wąwozu, tam gdzie rosły sosny. Usłyszała ciche wołanie sowy od strony ogniska z lewej strony. Tam też skierowała swojego konia.

Wojownicy nie powiedzieli ani słowa. Pozostawili to jej ojcu. Wysokiemu Łosiowi. Ale wciąż obowiązywał ich rozkaz zabicia białego człowieka, który naruszył spokój ich namiotów. Postanowili poczekać do wschodu słońca.

Tymczasem nad pasmo górskie Beartooth napłynęły grube chmury, a temperatura zaczęła spadać. Mężczyźni przy obu ogniskach owinęli się szczelniej kocami, choć na niewiele się to zdało. Wkrótce wszyscy obudzili się, by dorzucać drew do ognia, ale temperatura wciąż spadała.

Zarówno Czejenowie, jak i biali ludzie spędzili wiele czasu zimą w surowym klimacie

Dakoty i wiedzieli, czego można się spodziewać w styczniu lub w lutym. Ale był dopiero ostatni dzień października. Zbyt wcześnie na taki chłód. O drugiej w nocy zaczął padać gęsty śnieg. W obozowisku kawalerii zwiadowcy z plemienia Kruków wstali z prowizorycznych posłań. Obwieścili oficerowi, że zamierzają odjechać. Ten jednak znał wysokość nagrody i wiedział, że pojmanie zbiega odmieni jego życie w armii.

- Owszem, jest zimno, ale wkrótce wzejdzie słońce - gwałtownie zaprotestował.

- To nie jest taki zwykły chłód - odparli. - To Chłód Długiego Snu. Żaden śpiwór przed nim nie uchroni ani żadna odzież. Błada twarz, której szukacie już pewnie nie żyje. A z pewnością nie dożyje rana.

- Wobec tego jedźcie - powiedział oficer. Ostatecznie nie trzeba już było tropić zbiega. Wiadomo, gdzie jest - na górze.

Mała gromadka Kruków wsiadła na konie i ruszyła w drogę powrotną płaskowyżem Silver Run, w stronę doliny. Kiedy odjeżdżali, jeden z nich wydał z siebie odgłos naśladujący krzyk nocnego ptaka.

Usłyszeli go Czejenowie i spojrzeli na siebie. To był okrzyk ostrzegawczy. Dosiedli koni i również odjechali, zabierając ze sobą dziewczynę. Około czwartej nad ranem z gór zeszła lawina. Ściana śniegu z gwizdem spadała w stronę Lake Fork, zmiatając ze sobą wszystko co stało jej na drodze. Śnieg wypełnił cały wąwóz, aż po czubki sosen.

O świcie znowu zaświeciło słońce. Świat wokół pokryty był wysoką, równą warstwą śniegu. Ukryte w milionach nor zwierzęta górskie i leśne wiedziały, że nadeszła zima, i że czas zapaść w długi sen, który potrwa aż do wiosny.

W swojej wysokiej pieczarze otulony w skórę bizona spał człowiek pogranicza, Ben Craig.

OBUDZIWSZY się nie wiedział, jak to czasem bywa, gdzie się znajduje. W wiosce Wysokiego Łosia? Ale przecież nie słychać kobiet przygotowujących śniadanie. Dotknął twardej ściany pieczary i natychmiast przypomniał sobie wszystko.

Na zewnątrz dostrzegł białą skalną półkę pokrytą śniegiem, który migotał w słońcu. Wyszedł na zewnątrz półnagi i z przyjemnością wciągnął głęboko w płuca poranne powietrze.

Rosebud, której wieczorem spętał przednie nogi, wyszła powoli z pieczary i zaczęła pogryzać młodziutkie pędy sosenek wyrastających na krawędzi półki skalnej. Poranne słońce

świeciło z prawej strony Craiga, a on patrzył na północ, na odległe równiny Montany. Wychylił się w kierunku płaskowyżu Hellroaring. Nad Lake Fork nie widać było dymów z ognisk.

Wrócił do pieczary, gdzie włożył swoją skórzaną odzież. Następnie przeciął pęta Rosebud. Zarżała cichutko i przesunęła mu wilgotnymi chrapami po ramieniu. W tym momencie Ben dostrzegł coś dziwnego.

Delikatne, zielone pędy sosenek były niewątpliwie oznaką wiosny. Rozejrzał się dookoła. Kilka ostatnich starych sosen, które przetrwały na tej wysokości również zieleń się młodymi igłami.

Z dreszczem zaskoczenia zdał sobie sprawę, że podobnie jak dzikie zwierzęta, przespał całą zimę. Słyszał już o podobnych przypadkach. Stary Donaldson wspominał mu kiedyś o traperze, który spędził całą zimę w jaskini niedźwiedzia i nie umarł, ale przetrwał pogrążony we śnie cały ten czas obok młodych niedźwiadków, aż obudził się na wiosnę.

W jukach znalazł nieco suszonego mięsa. Było okropnie twarde, ale zmusił się by je przeżuć. Następnie nabrał w dłoń trochę śniegu, poczekał aż się roztopi i ugasił pragnienie. Wiedział, czym grozi połykanie lodowatego puchu.

Wyciągnął z juków traperską czapkę z lisiego futra i włożył ją na głowę. Po osiodłaniu Rosebud sprawdził strzelbę i policzył dwadzieścia naboju, które mu zostały po czym wsunął broń do futerału. Zrolował ciężką skórę i przytroczył ją z tyłu do siodła. Kiedy w pieczarze nic już nie zostało, chwycił Rosebud za uzdę i zaczął sprowadzać ją ścieżką w stronę płaskowyżu.

Nie miał pojęcia co robić ale wiedział, że w niższych partiach lasu trafi na zwierzynę łowną. Pierwszy płaskowyż przemierzył wolnym krokiem, rozglądając się uważnie dookoła. Żadnego ruchu. Doszedłszy do parowu, nie znalazł ani śladu pogoni. Nie mógł wiedzieć, że Indianie z plemienia Kruków poinformowali armię o śmierci żołnierzy z patrolu w lawinie i o tym, że poszukiwany przez nich uciekinier z pewnością też już nie żyje.

Odnalazł szlak schodzący do Lake Fork, a potem wspiał się do góry. Kiedy dotarł do Silver Run, słońce świeciło już wysoko na niebie. Poczul błogie ciepło.

Minąwszy sosnowy las, po raz pierwszy zatrzymał się na odpoczynek. Było akurat południe. Z giętkich gałązek i sznurka wyciągniętego z juków przygotował pułapkę na króliki. Nie minęła godzina, a pierwszy nie spodziewający się niczego gryzoń wylazł ze swojej nory. Craig zabił go i obdarł ze skóry, rozpałił ognisko hubką i krzesiwem, a potem z przyjemnością zaspokoił głód pieczonym mięsem.

Przez tydzień mieszkał na skraju puszczy, odzyskując siły. Postanowił ruszyć na równiny, podróżując nocą i chowając się w dzień, dotrzeć do gór Pryor i zbudować tam chatę. Potem zorientuje się, dokąd powędrowali Czejenowie i poczeka na Szepczący Wiatr, aż będzie wolna. Nie miał wątpliwości, że tak się stanie, tak bowiem zostało powiedziane.

Ósmej nocy osiodłał klacz i wyjechał z puszczy. Kierując się gwiazdami, ruszył w kierunku północnym. Nad ranem zatrzymał się w łożysku wyschniętego strumienia, w którym nikt nie mógłby go dojrzeć. Już ani razu nie zapalił ogniska. Żywił się mięsem, które uwędził w puszczy.

Następną noc skręcił na wschód, gdzie leżały góry Pryor i przekroczył pas czarnego, skalistego terenu. Następnie wkroczył w dziką krainę, którą trudno było jechać, ale która zapewniała doskonale kryjówki.

Pewnego razu w świetle księżyca dostrzegł stado krów i zamyślił się nad głupotą ich właściciela, który zostawił je same bez żadnej opieki.

Czwartego ranka zauważył w oddali fort u podnóży Pryoru Zachodniego. Przyglądał mu się przez godzinę, bezskutecznie nasłuchując i wyglądając śladów życia, dźwięku trąbki na wietrze, dymu unoszącego się z żołnierskiej kuchni.

Podczas wieczornego posiłku zastanawiał się, co zrobić. Okolice była bardzo nieprzyjazna, a każdy samotny podróżnik znajdował się tu w ciągłym zagrożeniu. Zeszłej jesieni w tym miejscu nie było żadnego fortu. Najbliższy był Fort Smith leżący na wschodzie nad rzeką Big Horn oraz Fort Ellis na szlaku Bozema, w kierunku północno-zachodnim. Od tego drugiego powinien trzymać się z daleka, by nie zostać rozpoznany.

Jeśli jednak w nowym forcie nie stacjonują wojska Siódmego Pułku Kawalerii albo żołnierze Gibbona, jest mało prawdopodobne by ktoś znalazł jego twarz, a jeśli poda fałszywe nazwisko... Osiodłał Rosebud i postanowił udać się nocą na zwiady, by sprawdzić co się dzieje w forcie.

Kiedy tam dotarł, księżyc świecił jasno. Na maszcie nie powiewała bandera oddziału, a w forcie było zupełnie ciemno i cicho. Nad główną bramą znajdował się napis składający się z dwóch słów. Pierwsze rozpoznał jako "Fort", bowiem widział je już wcześniej i znał kształt tych liter. Wysoka brama zamknięta była na łańcuch i kłódkę. Oprowadził Rosebud dookoła blisko czterometrowej palisady. Po co armia wybudowała fort, który wkrótce opuściła? Czyżby wszyscy wewnątrz byli martwi? Ale przecież wtedy brama nie byłaby zamknięta z zewnątrz na

kłódkę. O północy Craig wspiał się i stanął na grzbiecie klaczy, wyciągnął wysoko ręce i zacisnął dłonie na czubkach pali. Kilka sekund później znajdował się już na galerii ciągnącej się półtora metra pod szczytem palisady i dwa metry nad ziemią.

Rozpoznał budynki dla oficerów i żołnierzy, stajnię i kuchnię, zbrojownię, beczkę z wodą, magazyn i kuźnię. Było tu wszystko, co powinno znajdować się w forcie, ale opuszczone.

Zszedł po cichu wewnętrznymi schodami z bronią gotową do strzału i zaczął myszkować po zabudowaniach. Dookoła pachniało nowością. Jedynie pomieszczenia dowództwa zamknięte były na klucz. Wszystkie inne stały otworem. Natrafił na barak dla żołnierzy i drugi dla podróżnych. Nigdzie natomiast nie znalazł latryny, co było dziwne. W tylnej ścianie znajdowały się drzwi zabezpieczone od wewnątrz drewnianą belką.

Craig zdjął ją, wyszedł na zewnątrz, poszedł wzdłuż palisady po Rosebud i wprowadził ją do środka. W stajni były kojce dla dwudziestu koni, w każdym pasza i koryto pełne wody. Ściągnął siodło z grzbietu klaczy i wyszczotkował jej sierść zgrzebłem, podczas gdy ona zajadała owies.

W kuźni znalazł puszkę smaru, którym wyczyścił broń, aż zaczęła lśnić. W magazynie znajdowały się pułapki na zwierzęta i koce, którymi postać sobie pryczę w rogu baraku dla podróżnych.

Pierwszy tydzień przeleciał jak z bicia strzelił. Rankiem wyjeżdżał, by założyć pułapki i coś upolować, a popołudniami wyprawiał skóry zwierząt, by sprzedać je w przyszłości. Mięsa miał pod dostatkiem, a ponadto znał też kilka roślin, z których liści można było przygotować pożywną zupę.

Znalezionym w składzie mydłem mył się w pobliskim strumieniu. Wokół rosła trawa, więc Rosebud miała gdzie popasać. W kuchni pełno było cynowych misek i talerzy. Narąbał drzewa i rozpałił ogień, by zagrzać wodę do golenia. Jedną z rzeczy, które zabrał z chaty Donaldsona była brzytwa w podłużnym, stalowym futerale. Aż trudno było uwierzyć, jak łatwo się ogolić, mając mydło i gorącą wodę. Mieszkając w lesie lub maszerując z wojskami, golił się zaledwie zwilżywszy twarz zimną wodą.

Po MIESIĄCU w forcie zjawili się ludzie, ale wtedy akurat Craig przebywał w górach, aby sprawdzić zastawione tam sidła. Było ich ośmiu i przyjechali w trzech długich, stalowych pudłach toczących się na srebrnych kołach o czarnych obręczach. I wcale nie ciągnęły ich konie.

Jednym z przybyszów był przewodnik i gospodarz pozostałych siedmiu mężczyzn, profesor John Ingles, dziekan Wydziału Historii Uniwersytetu Montany w Bozeman. Najważniejszym z jego gości był senator ze stanu Montana, który przyjechał tu aż z Waszyngtonu. Towarzyszyło mu trzech deputowanych do parlamentu stanowego w Helenie i trzech urzędników z departamentu edukacji. Profesor Ingles otworzył kłódkę i wszyscy weszli do środka.

- Panie senatorze, szanowni panowie, witam w Fort Heritage - zaczął uroczyście John Ingles, promieniejąc radością. Fort Heritage oznaczał ucieleśnienie jego marzeń, jego realizacja kosztowała go dziesięć lat pracy i mnóstwo starań. Dzisiejszy dzień był ich ukoronowaniem.

- Ten fort i placówka handlowa są dokładną repliką, w najmniejszych szczegółach, fortów pogranicza z czasów nieśmiertelnego generała Custer. Nadzorowałem wszystkie prace osobiście, dbając o każdy detal.

Oprowadzając gości po drewnianych budynkach, opowiadał, w jaki sposób narodził się pomysł budowy fortu, jak zainteresował nim Towarzystwo Historyczne Stanu Montana i Towarzystwo Kulturalne, jak po wielu usilnych staraniach uzyskał środki na jego postawienie. Mówił z entuzjazmem, którym w kilka chwil zaraził swoich gości.

- Wizyta w Fort Heritage będzie niezwykłym doświadczeniem edukacyjnym dla dzieci i młodzieży nie tylko z Montany, lecz również jak oczekuję, z sąsiednich stanów. Już teraz mamy zarezerwowane wycieczki autokarowe z Wyoming i Dakoty Południowej. Na samym krańcu Rezerwatu Kruków znajduje się osiem hektarów pastwisk dla koni i stajnie. Będziemy tam kosić siano kosami, jak w dawnych czasach. Turyści będą mogli zobaczyć na własne oczy, jak wyglądało życie pogranicza sto lat temu. Zapewniam panów, że niczego podobnego nie znajdziecie w całej Ameryce.

- Podoba mi się to - powiedział z uznaniem senator. - A co z personelem tego obiektu?

- Najlepsze zachowałem na koniec, senatorze - odparł profesor. - To nie będzie muzeum, ale funkcjonujący fort z lat siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku. Mamy środki na zapewnienie wakacyjnego zatrudnienia sześćdziesięciu młodym ludziom. Pracownikami będą studenci szkół aktorskich ze wszystkich głównych miast Montany. Mamy też sześćdziesięciu własnych ochotników. Ja sam wcielę się w postać majora Inglesa z Drugiego Pułku Kawalerii i tym samym obejmę dowództwo fortu. Będę miał pod komendą sierżanta, kaprali i ośmiu szeregowych kawalerzystów - wszystko to studenci, którzy doskonale jeżdżą konno. A konie

wypożyczymy od zaprzyjaźnionych ranczerów. Zatrudnimy tu również młode kobiety, udające kucharki i praczki. Inni studenci będą odgrywać role traperów z gór, zwiadowców z Wielkich Równin i osadników podróżujących na zachód w kierunku Gór Skalistych. Dogadaliśmy się też z prawdziwym kowalem, dzięki czemu zwiedzający będą mogli zobaczyć na własne oczy jak się podkuwa konie. W kaplicy wewnątrz fortu będziemy uczestniczyć w nabożeństwach oraz śpiewać psalmy i hymny z tamtych czasów. Dziewczęta będą oczywiście spać w osobnym budynku, pod opieką asystentki z mojego wydziału Charlotte Bevin. Osobne baraki mieszkalne przeznaczono też dla żołnierzy i gości. Proszę mi wierzyć - dopilnowaliśmy naprawdę wszystkiego.

- Ale w dzisiejszych czasach młodzi ludzie mają pewne potrzeby. Jak zapewni im pan warunki do utrzymania higieny oraz świeże owoce i warzywa? - spytał jeden z kongresmanów z Heleny.

- Słuszna uwaga - rozpromienił się profesor. - W trzech dziedzinach musieliśmy odstąpić od pełnego autentyzmu. Przede wszystkim nie będzie tu żadnej sprawnej broni, a jedynie modele strzelb i pistoletów poza kilkoma prawdziwymi, z których będzie można strzelać wyłącznie ze ślepych nabojów, a i to jedynie pod nadzorem. Jeśli zaś chodzi o higienę, widzieli panowie zbrojownię? Są tam repliki springfieldów na stojakach, ale za specjalną ścianą jest też prawdziwa umywalnia z ciepłą wodą. A ten ogromny zbiornik na deszczówkę? Mamy również zainstalowane pod ziemią rurociągi i bieżącą wodę. Do zbiornika prowadzą ukryte drzwi, a w środku znajduje się zasilana gazem chłodnia na mięso, owoce i warzywa. Gaz pochodzi wyłącznie z butli. No i to cała nowoczesność. Elektryczności w ogóle nie mamy.

Znajdowali się właśnie przy drzwiach baraku dla podróżnych. Jeden z przybyszów zajrzał do środka.

- Zdaje się, że macie tu chyba nieproszonego gościa - zauważył. Wszyscy spojrzeli ze zdziwieniem na wyłożoną kocami prycę w rogu. Potem znaleźli końskie łajno w stajni i żar z ogniska na zewnątrz. Senator ryknął śmiechem.

- Wygląda na to, że niektórzy turyści nie mogli się już doczekać. Może ma pan tu prawdziwego trapera z Dzikiego Zachodu?

Wszyscy roześmiali się.

- A tak na poważnie, to chciałem panu pogratulować, profesorze. Kawał świetnej roboty. Jestem pewien, że wszyscy obecni podzielają mój pogląd. Ten fort to dla naszego stanu

prawdziwy skarb.

Na tym zakończyli zwiedzanie. Profesor, zamykając bramę na kłódkę, wciąż zastanawiał się nad zasłaną pryczą i końskim łajnem. Potem odjechali.

Ben Craig powrócił z polowania dwie godziny później. Pierwszym znakiem czyjejś obecności były zablokowane, belką od wewnątrz, drzwi w pobliżu kaplicy. Był pewien, że zostawił je tylko lekko przymknięte.

Sprawdził główną bramę, ale wciąż była zamknięta na kłódkę. Przed fortem znalazł dziwaczne ślady na ziemi podobne do tych, które zostawiają wozy ale szersze i o zygzakowatym wzorze.

Ze strzelbą w dłoni przedostał się przez palisadę. Po godzinie sprawdzania uznał, że w forcie nie ma nikogo.

Zdjął belkę z tylnych drzwi, wprowadził Rosebud do środka, umieścił ją w stajni i nakarmił. Następnie przyjrzał się śladom na dziedzińcu. Były tam odciski podeszew i butów, ale brak śladów końskich kopyt. Wyglądało to wszystko bardzo dziwnie.

DWA tygodnie później zjechała załoga fortu i tym razem Craig nikogo nie zobaczył, udał się bowiem na obchód pułapek zastawionych u podnóża gór Pryor.

Była to już całkiem pokaźna kawalkada. Trzy pełne ludzi autokary, cztery samochody z dodatkowymi kierowcami, którzy mieli odprowadzić je do miasta oraz dwadzieścia koni w wielkich srebrnych przyczepach. Kiedy wszystko już wyładowano, pojazdy powoli odjechały.

Pracownicy przebrali się w stroje odpowiednie do swoich ról. Każdy miał ze sobą plecak pełen odzieży i rzeczy osobistych. Profesor zabronił przywożenia czegokolwiek “współczesnego”. Czegokolwiek na prąd lub na baterie. Nie wolno było mieć przy sobie nawet książki wydanej w dwudziestym wieku. Uparł się, że odmiana musi być całkowita, nie tylko pod kątem zachowania autentyzmu realiów ale i nastawienia psychicznego.

- Z czasem naprawdę uwierzycie, że jesteście ludźmi pogranicza, żyjącymi w przełomowym okresie dziejów Montany - zapewnił ich profesor.

PÓŹNYM popołudniem Ben Craig zatrzymał Rosebud niecały kilometr od fortu i zaczął mu się przyglądać z narastającym niepokojem. Brama była otwarta na oścież. Na dziedzińcu dojrzał dwa furgony pod plandekami i krzątających się Judzi. Na maszcie umieszczonym nad

bramą łopotała flaga Unii. Dostrzegł dwa granatowe mundury wojskowe. Czekał całe tygodnie na okazję, by móc kogoś spytać, gdzie odeszli lub zostali przesiedleni Czejenowie, ale teraz nie był pewien, czy powinien skorzystać z tej okazji.

W końcu, po półgodzinnym namyśle, postanowił wjechać do fortu. Minał bramę w chwili, gdy dwaj żołnierze właśnie zamierzali ją zamknąć. Spojrzeli na niego z zaciekawieniem, ale nic nie powiedzieli. Craig zeskoczył z grzbietu Rosebud i ruszył w kierunku stajni. Był w połowie drogi, kiedy ktoś do niego podszedł.

Charlotte Bevin była miłą osobką, sympatyczną i gościnną na sposób amerykański. Miała blond włosy, mnóstwo powabu i piegowaty nosek. Obdarzyła Craiga szerokim uśmiechem.

- Dzień dobry! - powiedziała.

Było zbyt gorąco na futrzaną czapkę, więc Ben powitał ją skinieniem głowy.

- Dzień dobry, panienko.

- Czy pan jest z naszej grupy?

Jako asystentka profesora i słuchaczka studiów podyplomowych, brała wcześniej udział w licznych rozmowach selekcyjnych. Jednak z tym młodym człowiekiem chyba się nie zetknęła.

- Wygląda na to, że tak, panienko - odparł przybysz.

- To znaczy, chciałby pan przyłączyć się do nas?

- Tak, chyba tak.

- Cóż, to niezbyt zgodne z przepisami, skoro nie jest pan jednym z nas. Ale jest już późno, i nie pozwolę, by spędził pan noc na prerii. Zapewnimy panu miejsce do spania. Niech pan odprowadzi konia do stajni, a ja porozmawiam z majorem Inglessem. Czy mógłby pan przyjść do kwatery dowództwa za pół godziny?

Młoda kobieta przeszła na drugą stronę dziedzińca do kwatery sztabu i zapukała do drzwi. Profesor, w pełnym umundurowaniu majora Drugiego Pułku, siedział przy biurku nad papierami.

- Usiądź, Charlie. Czy wszyscy pracownicy już się rozlokowali? - spytał.

- Tak. I mamy jednego dodatkowego. Młody mężczyzna na koniu. Właśnie przyjechał z prerii. Chciałby się do nas przyłączyć.

- Obawiam się, że nie możemy już nikogo więcej przyjąć. Mamy komplet.

- Prawdę mówiąc, przyjechał z własnym sprzętem. Ma konia, skórzane ubranie i siodło. A nawet pięć zrolowanych futerek zwierząt przytroczonych do siodła. Najwyraźniej bardzo się postarał.

- Gdzie on teraz jest?

- Odprowadził konia do stajni. Poprosiłam, żeby zgłosił się tu za pół godziny. Pomyślałam, że przynajmniej mógłby pan rzucić na niego okiem.

- Dobrze.

Craig nie miał zegarka, więc oceniał czas według słońca, ale mimo to spóźnił się tylko pięć minut. Zapukał do drzwi i wszedł do środka. John Ingles wstał zza biurka, zapinając kurtkę. Obok nie go stała Charlie Bevin.

- Chciał mnie pan widzieć, panie majorze?

Profesora od razu uderzyło to, że młody człowiek wygląda niesłychanie autentycznie. W dłoni ścisnął czapkę z lisa.

Kasztanowe włosy miał związane z tyłu rzemykiem, z którego zwisało orle pióro. Skórzane ubranie było szyte ręcznie. Ostatni raz profesor widział taki ścieg, oglądając oryginalny strój z tamtej epoki.

- Charlie powiedziała mi, że chce się pan do nas przyłączyć - powiedział profesor.

- Tak jest, panie majorze. Z wielką chęcią.

Profesor zdążył już podjąć decyzję. W swoim budżecie miał trochę środków na "nieprzewidziane sytuacje". Uznał, że pojawienie się tego młodego człowieka jest taką właśnie sytuacją. Podsunął sobie pod nos długi formularz, sięgnął po pióro ze stalówką i zanurzył ją w atramencie.

- Doskonale. Spiszemy pana dane. Imię i nazwisko?

Craig zawahał się. Jak dotąd nikt go nie rozpoznał, ale komuś mogło się obić o uszy jego nazwisko.

- Craig, panie majorze. Ben Craig - zaryzykował.

Chwila napięcia. Ale nic się nie stało. Jego nazwisko najwyraźniej nic im nie mówi. Wielka dłoń profesora zapisała w formularzu: "Benjamin Craig".

- Adres?

- Słucham?

- Gdzie pan mieszka, młody człowieku? Skąd pan pochodzi?

- Stąd, panie majorze.

- Tutaj jest tylko dzika preria i odludzie.

- Zgadza się, panie majorze. Urodziłem się i wychowałem tu, w górach.

- Coś takiego! - zdziwił się profesor. Słyszał wprawdzie o całych rodzinach, które mieszkają w głuszy w chatkach krytych papą ale zazwyczaj dzieje się to w Górach Skalistych w Utah, Wyoming i Idaho. Wpisał: "Brak stałego miejsca zamieszkania".

- Imiona rodziców?

- Oboje nie żyją, panie majorze.

- Och, tak mi przykro.

- Umarli piętnaście lat temu.

- A kto pana wychowywał?

- Pan Donaldson, majorze.

- A jego adres?

- On też nie żyje. Załatwił go niedźwiedź.

Profesor odłożył pióro. Nie słyszał o żadnych przypadkach zabicia człowieka przez niedźwiedzia, choć turyści bywają wyjątkowo nieroztropni. Niewielu z nich potrafi zachować się w głuszy. Cóż, ten młody człowiek był najwyraźniej sam na tym świecie.

- Ktoś inny z rodziny?

- Nie mam nikogo, panie majorze.

- W porządku. Data urodzenia?

- Pięćdziesiąty drugi. Koniec grudnia.

- Czyli ma pan dwadzieścia pięć lat?

- Zgadza się.

- Dobrze. Proszę mi podać numer ubezpieczenia.

Craig otworzył szeroko oczy. Profesor tylko westchnął.

- Gdzieś ty się, mój chłopcze, uchował... No dobrze, proszę tutaj się podpisać.

Profesor podsunął formularz w stronę Craiga i wręczył mu pióro. Ben nie umiał, co prawda przeczytać linijki "podpis pracownika", ale było oczywiste, gdzie ma złożyć autograf. Profesor odebrał formularz i zerknął na niego z niedowierzaniem.

- O cholera! - Pokazał formularz Charlie. Na papierze nakreślony był pojedynczy krzyżyk.

- Charlie, obawiam się, że przez lato będziesz miała dodatkowe obowiązki - westchnął zabawnie profesor. Młoda kobieta uśmiechnęła się rozbawiona.

- Najwyraźniej tak, panie majorze.

Miała trzydzieści pięć lat, była rozwiedziona i bezdzietna. A ten młody człowiek wydał jej się naiwnym, niewinnym, trochę bezbronnym chłopcem.

- Doskonale - rzekł profesor Ingles. - Ben, pójdz się rozgościć jeśli jeszcze tego nie zrobiłeś i przyjdź później na kolację.

JEDZENIE było smaczne i było go w bród. Podano je na emaliowanych, blaszanych talerzach. Jadł swoim nożem myśliwskim i łyżką, pomagając sobie kromką chleba. Nie dostrzegł nawet niezbyt dobrze ukrywanych, ciekawskich uśmiezków współbiesiadników.

Młodzi mężczyźni, z którymi dzielił kwaterę, byli bardzo przyjaźni. Wszyscy pochodzili z miast, o których nigdy nie słyszał. Pewnie leżały gdzieś na Wschodzie. Ponieważ mieli za sobą męczący dzień i było już ciemno, więc zdmuchnęli świece i szybko zasnęli.

Ben Craig uznał, że jego towarzysze są dość dziwni. Twierdzili, że są zwiadowcami, ujeżdżaczami koni i traperami, ale mieli nie wielkie pojęcie o swoich obowiązkach. Przypomniawsobie jednak rekrutów Custer'a i to, jak mało wiedzieli o koniach, broni i Indianach z Wielkich Równin. Najwyraźniej w armii nic się nie zmieniło pod tym względem.

Zgodnie z harmonogramem, dwa tygodnie przed przybyciem pierwszych zwiedzających przeznaczono na przygotowania i próby Czas ten został poświęcony na zaprowadzenie w formie idealnego porządku, ćwiczenia procedur oraz wykłady prowadzone przez majora Inglesa, najczęściej pod gołym niebem.

Craig nie miał o tym najmniejszego pojęcia. Właśnie wybierał się na polowanie, kiedy przy bramie natknął się na młodego kowboja o imieniu Brad.

- Co tam masz, Ben? - spytał, pokazując palcem futerał z owczej wełny przy lewym kolanie Craiga.

- Karabin.

- Możesz mi go pokazać? Uwielbiam broń palną.

Craig wyciągnął z futerału swojego sharpsa i wręczył go Bradowi, który dosłownie wpadł w ekstazę.

- O rany, ale cudo. Prawdziwy antyk. Co to jest?

- Sharps model pięćdziesiąt dwa.

- Niesamowite. Nie wiedziałem, że robią repliki tych karabinów.

Brad wycelował w dzwon wiszący nad główną bramą. Pociągnął za spust.

Miał właśnie powiedzieć “pif-paf”, gdy sharps go w tym wyręczył. Chłopaka odrzuciło do tyłu tak, że aż usiadł na ziemi. Pocisk uderzył w dzwon i odbił się od niego rykoszetem. Rozległ się donośny dźwięk, który sprawił, że wszyscy w forcie dosłownie zamarli. Profesor wybiegł ze swojego biura.

- Co to było, do czorta? - krzyknął, po czym jego wzrok spoczął na Bradzie, który siedział zbaraniały, ściskając w dłoniach karabin. - Brad, co ty najlepszego wyczyniasz?

Brad podniósł się z ziemi i wyjaśnił, co się stało. Ingles spojrzał z wyrzutem na Craiga.

- Ben, być może zapomniałem ci o tym powiedzieć, ale w tym forcie noszenie broni palnej jest zabronione. Będę musiał odebrać ci ten karabin i zamknąć go w zbrojowni.

- Nie wolno nosić broni? - spytał zdziwiony Craig.

- Nie wolno. Przynajmniej prawdziwej broni.

- No a co z Siuksami?

- Siuksami? Z tego, co wiem Siuksowie są w rezerwach w Dakocie Północnej i Południowej.

- Ale przecież mogą tu wrócić!

Dopiero w tym momencie profesor zorientował się, że to żart. Uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Oczywiście, że mogą wrócić. Ale podejrzewam, że nie tego lata. A tymczasem twój karabin będzie sobie leżał spokojnie pod kluczem w zbrojowni.

Kładąc się na spoczynek, Ben był zawsze zdziwiony, że jego towarzysze rozbierają się do bawełnianych spodenek, podczas gdy on wolał sypiać w zwykłym białym, do kostek kombinezonie. Po tygodniu ktoś tego nie wytrzymał i postanowił zwrócić się z problemem do Charlie.

Odnalazła Craiga, kiedy rąbał na drobne kawałki drewno sosno we do kuchni.

- Ben, mogę cię o coś zapytać?

- Oczywiście, panienko.

- Mów mi Charlie.

- Oczywiście, panienko Charlie.

- Ben, czy ty kiedykolwiek bierzesz kąpiel?

- Kąpiel?

- Tak. Chodzi mi o to, czy myjesz się cały, a nie tylko ręce i twarz.

- Oczywiście, panienko. Regularnie.

- Och, tak się cieszę, Ben. A kiedy kąpałeś się po raz ostatni?

Craig zamyślił się. Stary Donaldson nauczył go, że należy się kąpać regularnie ale biorąc pod uwagę, że woda w okolicznych strumieniach była zimna, raczej trudno było zamienić to w nałóg.

- Całkiem niedawno. W zeszłym miesiącu - odparł.

- Tak właśnie przypuszczałam. A może wykapałbyś się znowu? Na przykład zaraz?

Dziesięć minut później Charlie zauważyła, że Ben wyprowadza ze stajni osiodłaną Rosebud.

- Dokąd się wybierasz, Ben?

- Wykąpać się, panienko Charlie. Tak jak mi panienka kazała.

- Ale gdzie?

- W strumieniu. A gdzieżby?

Craig codziennie szedł na prerię, by w wysokiej trawie załatwić potrzeby fizjologiczne. Mył też twarz i dłonie w korycie z wodą dla koni. Zęby miał białutkie, bowiem czyścił je wciąż przepołowioną gałązką wierzbową, zazwyczaj jadąc konno.

- Odprowadź swoją klacz do stajni i chodź ze mną - poleciła mu Charlie.

Poprowadziła Bena do zbrojowni, którą otworzyła kluczem wiszącym przy pasku. W środku, między stojakami z mnóstwem zabezpieczonych łańcuchami springfieldów, ledwie widać było tylne drzwi. Charlie wcisnęła jakiś guzik i otworzyła je. Za drzwiami znajdowało się pomieszczenie z umywalkami i wannami.

Craig widział kiedyś wanny, podczas swojego dwuletniego pobytu w Fort Ellis. Tamte jednak były wykonane z desek, te zaś z emaliowanego żelaza. Wiedział doskonale, że wanny napelnia się kubłami wrzątku podgrzewanego na kuchni, a tu nagle Charlie przekreśliła dziwny spust i popłynęła z niego gorąca woda.

- Ben, wróć tu za dwie minuty. Chcę znaleźć całe twoje ubranie, poza skórzaną kurtką i spodniami, które trzeba będzie uprać chemicznie, przed drzwiami. Masz się wymoczyć w wannie, zeskrobać z siebie brud i umyć całe ciało mydłem. Całe. A potem umyjesz sobie tym włosy. - Wręczyła mu buteleczkę zielonego płynu, który pachniał sosnowymi szyszkami. - Po kąpeli wybierzesz sobie ubranie i bieliznę z tego, co leży tu, na półkach. Będę czekała na ciebie na zewnątrz, dobrze?

Craig zrobił, co mu poleciła. Nigdy wcześniej nie brał gorącej kąpieli. Okazało się, że to ogromna frajda. Zachlapał przy tym całą podłogę. Kiedy skończył kąpiel i umył włosy, woda w wannie była niemal czarna. Znalazł korek w dnie i wyciągnął go.

Z odzieży leżącej na półkach w kącie wybrał sobie bawełniane szorty, biały podkoszulek i kraciastą koszulę flanelową. Ubrał się, wsunął orle pióro z powrotem w warkoczyk i wyszedł na zewnątrz. Charlie czekała na niego na słońcu obok krzesła, trzymając w rękach nożyczki i grzebień.

- Nie jestem specjalistką, ale i tak będziesz wyglądał lepiej niż teraz - powiedziała. -
Usiądź.

Przycięła mu kasztanowe włosy, nie dotykając jedynie długiego warkoczyka z piórem.

- Znacznie lepiej - stwierdziła, oceniając swoją pracę. - I wreszcie normalnie pachniesz.

Odniosła krzesło z powrotem do zbrojowni i zamknęła drzwi na klucz. Spodziewała się usłyszeć gorące podziękowania, a tu okazało się, że Craig stoi z nieszczęśliwą miną.

- Panienko Charlie, przejdzie się panienka ze mną trochę?

- Oczywiście, Ben. Chcesz o czymś porozmawiać?

W głębi duszy cieszyła ją ta okazja. Być może wreszcie zrozumie tego tajemniczego i dziwnego człowieka, z głuszy. Przez dwadzieścia minut szli w milczeniu przez prerię w stronę rzeczki. Craig był zamyślony. W powietrzu unosiła się woń usychających traw. Kilka razy Ben unosił wzrok na góry Pryor widoczne daleko na południu.

- Pięknie wyglądają te góry - odezwała się w końcu Charlie.

- To mój dom - mruknął Ben i ponownie zamilkł. Kiedy dotarli do rzeki, usiadł na jej brzegu, a ona przycupnęła twarzą do niego.

- O co chodzi? - spytała.

- Czy mogę panienkę o coś zapytać?

- Przestań nazywać mnie panienką. Oczywiście, że możesz.

- Który mamy rok?

Spojrzała na niego z niedowierzaniem. Oczekiwała jakiejś rewelacji, a może czegoś o jego stosunkach z kolegami z grupy. Wbiła wzrok w ogromne, niebieskie oczy i zastanowiła się... jest co prawda dziesięć lat starsza od niego, ale...

- Jak to który rok? Tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty siódmy.

Spodziewała się zwykłego kiwnięcia głową. Ale jego reakcja całkowicie ją zaskoczyła.

Ben oparł głowę na kolanach i zakrył sobie twarz dłońmi. Jego ramiona pod skórzaną kurtką zaczęły się trząść.

Tylko raz w życiu widziała płaczącego mężczyznę. To było na miejscu wypadku samochodowego na drodze z Bozeman do Billings. Pochyliła się na klęczkach do przodu i położyła mu dłonie na ramionach.

- O co chodzi, Ben? Dlaczego spytałeś o rok?

Strach nie był obcy Benowi Craigowi. Wtedy gdy stanął oko w oko z niedźwiedziem grizzly i wtedy na zboczach pagórka nad Little Big Horn bat się bardzo. Ale nie tak potwornie jak teraz. Teraz czuł bezbrzeżne przerażenie.

- Urodziłem się w tysiąc osiemset pięćdziesiątym drugim roku - powiedział w końcu.

Charlie niejasno podejrzewała, że tak może wyglądać jego problem. Objęła go i przytuliła mocno, głaszcząc po głowie.

Była nowoczesną kobietą. Podobnie jak przynajmniej połowa młodych ludzi urodzonych w cywilizacji Zachodu, interesowała się mistycznymi filozofiami Wschodu. O reinkarnacji wiedziała wszystko. Czytała wiele o tym, jak niektórzy doświadczają dejawu, przekonania, że kiedyś dawno, dawno temu, żyli już na tym świecie.

Na szczęście można temu zaradzić. Od tego są psychologowie i psychiatrzy.

- Wszystko będzie dobrze, Ben - szepnęła, kołysząc go jak małe dziecko. - Będzie dobrze. Skoro tak uważasz, nie powinieneś się tego wstydzić. Spędzimy tu, w forcie, całe lato. Będziemy żyli tak, jak żyli ludzie sto lat temu. A jesienią możesz pojechać ze mną do Bozeman. Tam znajdziemy kogoś, kto ci pomoże. Wszystko będzie dobrze. Możesz mi wierzyć.

Wrócili razem do fortu. Zadowolona z tego, że ma pod ręką nowoczesne lekarstwa i opatrunki, czując się bezpieczna dzięki świadomości, że do szpitala w Billings można dotrzeć helikopterem w zaledwie kilka minut, Charlie zaczęła znajdować przyjemność w noszeniu długiej bawełnianej sukienki, w prostych warunkach egzystencji i rutynie życia codziennego w forcie na dalekim pograniczu. Co więcej, teraz już wiedziała, że na pewno napisze pracę doktorską.

WYKŁADY majora Inglesa były obowiązkowe dla wszystkich. Ze względu na panujące pod koniec lipca upały prowadził je na dziedzińcu. Słuchacze siedzieli przed nim na długich ławach, a on ilustrował im swe opowieści zdjęciami i rycinami. Wykłady z prawdziwej historii

pogranicza byty jego żywiołem.

Któregoś dnia opowiadał o przebiegu kampanii, która doprowadziła do bitwy nad Little Big Horn. Wtedy po raz pierwszy Craig dowiedział się wreszcie, jaki los spotkał majora Reno i jego trzy szwadrony oraz o tym, że kapitan Benteen zawrócił i pośpieszył im na odsiecz. Z radością usłyszał też, że większość obłożonych na wzgórzu żołnierzy została uratowana przez oddziały generała Terry'ego.

Ostatni wykład profesora poświęcony był ostatecznemu okrążeniu rozproszonych grup Siuksów i Czejenów w 1877 roku oraz o ich przymusowym przesiedleniu do rezerwatów. Kiedy Ingles poprosił o pytania, Craig podniósł rękę.

- Tak Ben? - Profesor był niesłychanie zadowolony, że pierwszy zgłasza się jedyny z jego podopiecznych, który nigdy nawet nie przekroczył progu szkoły podstawowej.

- Czy ma pan jakieś informacje na temat rodziny wodza Wysokiego Łosia lub wojownika o imieniu Krocząca Sowa? - spytał Craig.

Profesor stracił wątek. U siebie na wydziale miał tyle podręczników i opracowań, że pewnie nie zmieściłyby się wszystkie w ciężarówce, a większość ich treści miał w głowie. Oczekiwał jednak jakiegoś prostszego pytania. Zaczął się zastanawiać.

- Nie. Zadni świadkowie spośród Indian z Wielkich Równin nie wspominali tych imion. Dlaczego interesuje cię ich los?

- Słyszałem kiedyś, że Wysoki Łoś oddzielił się od głównej grupy Indian, ominął patrole Terry'ego i spędził zimę w górach Pryor - powiedział Craig.

- Cóż, ja nigdy o tym nie słyszałem. Ale jeśli tak było, to z pewnością odnaleziono ich wiosną. Być może będzie mógł coś o tym powiedzieć ktoś z college'u imienia Tępego Noża w Lame Deer.

Craig zapamiętał tę nazwę. Jesienią pojedzie do Lame Deer, cokolwiek to jest i popyta.

NA WEEKEND przyjechały pierwsze grupy zwiedzających. Potem pojawiały się niemal codziennie. Większość z nich stanowiły wycieczki szkolne, ale przyjeżdżało też wiele rodzin. Wszyscy zostawiali autokary i samochody na niewidocznym z fortu, odległym o blisko kilometr parkingu. Stamtąd przywożono ich krytymi furgonami osadników. W ten sposób profesor Ingles chciał wprowadzić gości "w nastrój epoki".

Rezultat był doskonały. Dzieci, stanowiące większość przybyszów, były zachwycone

przejażdżką, a na ostatnim dwustumetrowym odcinku wyboistej drogi nietrudno im było uwierzyć, że są prawdziwymi osadnikami z czasów Dzikiego Zachodu. Wysypywały się z wozów w najwyższym stopniu podekscytowane.

Craig otrzymał polecenie, by zajmować się skórami upolowanych zwierząt, które rozciągnięte na drewnianych ramach schły w słońcu. Posypywał je solą i skrobał, przygotowując do zmiękczenia i garbowania. Żołnierze ćwiczyli musztrę, kowal dmuchał miechem, dziewczęta w długich bawełnianych sukniach prały odzież w wielkich drewnianych beczkach, a “major” Ingles oprowadzał przybyszów po całym forcie, wyjaśniając czym się zajmują poszczególni jego mieszkańcy i dlaczego jest to takie istotne dla przeżycia na Wielkich Równinach.

Dwóch młodych Indian odgrywało role Siuksów pełniących w forcie funkcje naganiacza zwierzyny i przewodnika. Ubrani byli w bawełniane spodnie i niebieskie, płócienne koszule. U pasa mieli przytroczone sakiewki, a na głowach cylindry, spod których wystawały długie, czarne peruki. Jednak największym powodzeniem cieszył się kowal i Ben Craig sprawiający skóry.

- Sam je pan upolował? - spytał kiedyś pewien chłopiec ze szkoły w Helenie.
- Mhm. - A ma pan zezwolenie?
- Co takiego?
- Dlaczego nosi pan pióro we włosach, skoro nie jest pan prawdziwym Indianinem?
- Dali mi je Czejenowie.
- Dlaczego?
- Za to, że zabiłem niedźwiedzia grizzly.
- Ach, jakaż to wspaniała historia! - zachwyciła się stojąca obok nauczycielka.
- To żadna historia - prychnął chłopiec. - On jest aktorem, jak wszyscy pozostali.

Ilekróć z kolejnego wozu wysypywali się turyści, Craig poszukiwał wśród nich wzrokiem znajomej kaskady czarnych włosów i wielkich, ciemnych oczu. Ale nigdy nie przyjechała. Nadszedł wreszcie sierpień.

Craig poprosił, by pozwolono mu wybrać się na trzy dni w góry. Wyjechał tuż przed świtem. U podnóża gór znalazł specjalne drzewo zwane drzewem Indian Osage, wyciągnął toporek pożyczony z kuźni, i zabrał się do roboty. Kiedy w końcu wyciął, oheblował i wygładził drzewce łuku, spiął je sznurkiem zabranym z fortu, nie miał bowiem zwierzęcych ścięgien.

Strzały wystrugał z twardych i idealnie prostych gałązek jesionowych. Wyposażył je w lotki z piór dzikich indyków. Nad rzeką znalazł krzemienie, z których wyciosał groty. Trzeciego

dnia rano upolował jelenia.

Wrócił do fortu z rogaczem przewieszonym przez grzbiet konia. Strzała wciąż tkwiła w jego sercu. Zabrał jelenia do kuchni, rozwiesił go, wypatroszył, obdarł ze skóry i podzielił. Na oczach zaskoczonych turystów wręczył kucharzowi blisko trzydzieści kilogramów świeżej dziczyzny.

- Nie smakuje ci moje jedzenie? - spytał nieco urażony kucharz.

- Ależ skąd! Smakuje mi bardzo. Szczególnie ten placek z serem i różnymi kolorowymi dodatkami.

- Pizza.

- Właśnie. Po prostu pomyślałem, że moglibyśmy spróbować trochę świeżej dziczyzny.

Kiedy zwiadowca mył ręce w korycie dla koni, kucharz chwycił zakrwawioną strzałę i pobiegł z nią prosto do kwatery majora.

- Cóż za piękny przedmiot - zachwycił się profesor Ingles, biorąc strzałę do rąk.

- Widziałem podobne w muzeum. A te lotki z piór indyjskich to typowa robota Czejenów.

Skąd to masz?

- Ben twierdzi, że sam ją zrobił - odparł kucharz.

- Niemożliwe. Nikt już dzisiaj nie potrafi tak ciosać krzemienia.

- Ma ich cztery - dodał kucharz. - A ta tkwiła w sercu jelenia. Dziś na obiad będziemy mieli świeżą dziczyznę.

Zjedzono ją upieczoną na ruszcie ustawionym poza palisadą. Wszystkim ogromnie smakowała.

W POŁOWIE miesiąca Bena Craiga zaczęły ogarniać czarne myśli. Nikt z wesołej gromady młodych ludzi dookoła nie miał pojęcia, że w głębi serca podjął już decyzję. Jeśli do końca lata nie odnajdzie swojej miłości, dla której posłuchał nakazu starego szamana, wróci w góry i z własnej ręki dołączy do niej w zaświatach.

Tydzień później dwa furgony ciągnięte przez spocone konie ponownie wjechały na dziedziniec fortu i zatrzymały się. Z pierwsze go wyskoczyła gromada chichoczących, podnieconych dzieci. Schował do pochwy nóż, który właśnie ostrzył na kamieniu, i podszedł bliżej. Jedna z nauczycielek stała do niego tyłem. Do połowy pleców spadały jej czarne jak smoła włosy. Odwróciła głowę. Okrągła, dziecinna buzia Japonki. Craig od szedł. Poczł, że zaczyna w

nim wrzeć. Nagle zatrzymał się, uniósł zaciśnięte pięści do nieba i krzyknął:

- Okłamałeś mnie, Meh-y-yah! Kazałeś mi czekać, ale zamiast tego zawiodłeś mnie tu, w tę dzicz, odrzuconego przez Boga i ludzi!

Wszyscy znajdujący się na dziedzińcu zamilkli i wbili w niego wzrok. Przed nim znieruchomiał jeden z "oswojonych" Indian.

I wtedy spod cylindra spojrzała na niego wiekowa twarz, pomarszczona i brązowa jak spalony orzech włoski, stara jak skały gór Beartooth, okolona kosmykami śnieżnobiałych włosów. W oczach szamana widniał bezgraniczny smutek. Powoli pokręcił głową, po czym podniósł wzrok i skinął, spoglądając na coś, co znajdowało się za plecami zwiadowcy.

Craig obejrzał się za siebie, ale ponieważ nie zobaczył nic, odwrócił głowę. Spod runda cylindra patrzył na niego jak na wariata Brian Heavysield, jeden z dwóch młodych indiańskich przewodników. Ben okręcił się na pięcie i odszedł w kierunku bramy.

Drugi furgon był już pusty. Gromadka dzieci tłoczyła się wokół nauczycielki. Dzinsy, kraciasta koszula, czapka z daszkiem. Odwróciła się, by rozdzielić dwóch szturchających się chłopców, po czym otarła czoło rękawem, potrącając niechcący daszek czapki. Czapka spadła. Burza czarnych włosów sfrunęła jej aż do pasa. Czując, że ktoś na nią patrzy, odwróciła głowę w stronę Craiga. Owalna twarz, ogromne, ciemne oczy. Szepczący Wiatr.

Znieruchomiał. Nie mógł wykrztusić z siebie ani słowa. Wiedział, że powinien coś powiedzieć lub podejść do niej, zrobić cokolwiek. Ale nie potrafił. Wpatrywał się w nią tylko jak urzeczony. Dziewczyna zarumieniła się, odwróciła zakłopotany wzrok i zaczęła zgarniać swoich podopiecznych. Godzinę później grupa dotarła do stajni, oprowadzana przez Charlie. Ben Craig akurat cesał grzywę swojej Rosebud.

- Tu właśnie trzymamy konie - opowiadała Charlie. - Niektóre z nich to konie kawalerii, pozostałe należą do ludzi, którzy tu mieszkają lub są przejazdem. Ben, którego tu akurat widzicie, czyści sierść ukochanej klaczy Rosebud. Ben jest traperem, myśliwym, zwiadowcą i człowiekiem gór.

- Chcę zobaczyć wszystkie konie! - zapiszczał jeden z chłopców.

- Dobrze kotku, obejrzymy wszystkie konie. Tylko nie zbliżajcie się do nich, bo mogą wierzgnąć kopytami - przestrzegła Charlie. Poprowadziła dzieci do stajni, zostawiając Craiga i młodą nauczycielkę sam na sam.

- Przepraszam, że tak się na panią gapiłem - powiedział. - Nazywam się Ben Craig.

- A ja Linda Pickett. Miło mi. - Wyciągnęła rękę na powitanie. Chwycił ją i uściskał. Była drobna i ciepła, taka sama jak zapamiętał.

- Chciałbym panią o coś zapytać. Czy pamięta mnie pani?

Zmarszczyła brwi.

- Nie, raczej nie. Spotkaliśmy się już kiedyś?

- Bardzo dawno temu.

Dziewczyna zaśmiała się. Tak jak wtedy, gdy siedziała przy ognisku w wiosce Wysokiego Łosia.

- O, to musiałam być wtedy całkiem mała. Gdzie to było?

- Pokażę ci.

Wyprowadził zaskoczoną dziewczynę przed bramę. Na południu wznosiły się szczyty gór Pryor.

- Wiesz, co to za góry? - spytał.

- Beartooth?

- Nie, góry Beartooth leżą dalej na zachód. To są góry Pryor. Tam się kiedyś poznaliśmy.

- Ale ja nie byłam nigdy w górach Pryor. W dzieciństwie często jeździłam z braćmi pod namiot, ale nigdy tam.

Craig zapatrzył się w ukochaną twarz.

- Jesteś teraz nauczycielką? - spytał.

- Tak. W Billings. A bo co?

- Przyjedziesz tu jeszcze kiedyś?

- Nie wiem. Jest planowanych kilka następnych wycieczek, ale później. Być może wyznaczą mnie do opieki nad nimi. Dlaczego o to pytasz?

- Chcę, żebyś wróciła. Muszę cię znów zobaczyć. Obiecuj mi, że wrócisz!

Panna Pickett znów się zarumieniła. Zazwyczaj odpowiadała na awanse mężczyzn śmiechem, który stwarzał dystans a jednocześnie nie urażał nikogo. Jednak ten młody człowiek był niepodobny do swoich rówieśników. Wydawał się taki poważny a jednocześnie jakiś prostoduszny, naiwny. Spojrzała prosto w niebieskie, szczerze oczy i coś w niej zadrgało.

- Szczerze mówiąc, nie wiem - powiedziała zmieszana. - Zastanowię się nad tym.

W godzinę później odjechała wraz ze swoją grupą.

MINAŁ tydzień, ale w końcu przyjechała. Zastąpiła koleżankę, której zachorował ktoś bliski. Sama zgłosiła się na zastępstwo. Dzień był gorący. Miała na sobie prostą, bawełnianą sukienkę we wzorki.

W ciągu tygodnia Craig poprosił Charlie, by sprawdziła w harmonogramie wycieczek, kiedy przyjedzie grupa ze szkoły Lindy. Kiedy z wozów wysiadali pasażerowie, stał obok i wypatrywał jej. Była.

- Pójdziemy na spacer, panienko Lindo?

- Na spacer? A dokąd?

- Na prerie. Żebyśmy mogli porozmawiać.

Odmówiła tłumacząc, że ma pod opieką dzieci, ale jedna z jej starszych koleżanek puściła do niej oko i szepnęła, że powinna poświęcić trochę czasu swojemu nowemu adoratorowi, jeśli ma na to ochotę. Miała.

Odeszli daleko od fortu. W końcu trafili na skałki, wśród których rosło drzewo. Craig nie wiedział, od czego zacząć.

- Skąd pochodzisz, Ben? - odezwała się w końcu Linda, próbując przełamać jego nieśmiałość, która prawdę mówiąc, całkiem jej się podobała. Ben kiwnął głową w kierunku odległych szczytów.

- Wychowałeś się tam, w górach? - spytała, a on skinął głową.

- A gdzie chodziłeś do szkoły?

- Nigdzie.

Linda zamilkła, usiłując ułożyć to sobie w głowie. To dziwne - spędzić całe życie, polując w górach i nigdy nie chodzić do szkoły. Zbyt dziwne.

- W górach musi być bardzo cicho. Nie ma tam przecież ani samochodów, ani telewizji.

Nie miał pojęcia, o czym ona mówi, ale doszedł do wniosku, że pewnie o jakichś rzeczach, które wydają dźwięki inne niż szelest liści i trele ptaków.

- Tam słychać tylko odgłosy swobody - powiedział niepewnie. - Powiedz mi panienko Lindo czy słyszałaś kiedykolwiek o Czejenach Północnych?

Ta zmiana tematu była zaskakująca, ale przyjęła ją z ulgą.

- Oczywiście. Prawdę mówiąc, moja prababcia ze strony matki była Czejenką.

Gwałtownie odwrócił głowę w jej kierunku. Orle pióro zatrzepotało na wietrze. Spojrzał na nią przenikliwymi, niebieskimi oczami, w których malowało się błaganie.

- Opowiedz mi o niej. Proszę.

Linda Pickett pamiętała, że kiedy była małą dziewczynką, babcia pokazała jej raz starą, spłowiałą, czarno-białą fotografię zasuszonej staruszki, swojej matki. Wielkie czarne oczy, drobny nosek i wydatne kości policzkowe świadczyły o dawnej wielkiej urodzie. Musiała być piękną kobietą. Linda wyjawiała Craigowi, co opowiedziała jej w dzieciństwie babcia.

Mężem prababci z fotografii był wojownik z plemienia Czejenów. Urodziła mu synka. Jednak około roku 1880 w rezerwacie wybuchła epidemia cholery, która zabrała jej męża i dziecko. Dwa lata później pewien szwedzki kaznodzieja z pogranicza wziął młodą wdowę za żonę, wbrew opinii białych członków swojej społeczności. Mieli trzy córki, z których najmłodsza, babcia Lindy, przyszła na świat w 1890 roku.

Babcia doczekała się trójki potomstwa, chłopca i dwóch dziewczynek. Młodsza, Mary, urodziła się w 1925 roku. Miała niecałe dwadzieścia lat, kiedy przybyła do Billings w poszukiwaniu pracy. Zatrudniła się jako kasjerka w nowo powstałym Banku Farmerskim. W sąsiednim okienku pracował prostolinijny i zaradny młody człowiek, Michael Pickett. Pobrali się w 1945 roku.

Ojciec Lindy nie poszedł na wojnę ze względu na poważną krótkowzroczność. Oboje doczekali się piątki potomstwa - czterech wysokich synów o blond włosach i Lindy, najmłodszej. Przyszła na świat w 1959 roku, czyli miała teraz zaledwie osiemnaście lat.

- Nie wiadomo dlaczego, ale w odróżnieniu od rodziców i braci, mam czarne włosy i ciemne oczy. To wszystko. Teraz twoja kolej.

Craig zignorował jej zaproszenie.

- Czy masz blizny na prawej nodze? - spytał nagle.

- Pytasz o znamiona? Skąd możesz o nich wiedzieć? - Linda nie posiadała się ze zdumienia.

- Możesz mi pokazać?

- Chyba żartujesz. To bardzo osobista sprawa.

- Proszę!

Linda zawahała się przez moment, po czym podciągnęła bawełnianą spódnicę, odsłaniając szczupłe, opalone na złoto udo. Wciąż tam były. Dwa pomarszczone dołeczki, dokładnie w miejscu rany wlotowej i wylotowej, które wyrwała kula wystrzelona przez żołnierza na brzegu rzeki Rosebud. Rozdrażniona Linda opuściła spódnicę.

- Coś jeszcze? - spytała ironicznie.
- Już tylko jedno. Czy wiesz, co w narzeczu Czejenów znaczy Emos est se haa'e?
- Nie mam zielonego pojęcia.
- To znaczy "Wiatr Który Szepcze Cicho". Szepczący Wiatr. Czy mogę cię tak nazywać?
- Nie wiem. Chyba tak. Skoro tak chcesz. Ale dlaczego?
- Ponieważ kiedyś nosiłaś to imię. Ponieważ śniłem o tobie po nocach. Ponieważ czekałem na ciebie. Ponieważ cię kocham.

Pąsowy rumieniec ogarnął jej twarz. Poderwała się.

- To jakieś szaleństwo. Nic o mnie nie wiesz ani ja o tobie. A po za tym jestem zaręczona i wkrótce wychodzę za mąż.

Wracając do swojej grupy, już się więcej do niego nie odezwała.

Mimo to znowu przyjechała do fortu. Walczyła sama ze sobą, wmawiała sobie tysiące razy, że to głupota, obłąd, że pewnie oszalała. Ale wciąż widziała przed sobą te wpatrzone w nią niebieskie oczy, więc postanowiła spotkać się raz jeszcze z zakochanym młodzieńcem, by powiedzieć mu, że ich dalsza znajomość nie ma sensu. Przynajmniej tak sobie obiecała.

W przedostatnią niedzielę wakacji złapała autobus wycieczkowy odjeżdżający z centrum miasta i wysiadła z niego na parkingu. Musiał się jej spodziewać, bo czekał na dziedzińcu obok osiodłanej Rosebud.

Pomógł jej wspiąć się na konia, za sobą, i pojechali w głąb prerii. Rosebud doskonale знаła drogę do migoczącego w słońcu strumienia. Tam usiedli. Craig opowiedział jej, jak zginęli jego rodzice oraz jak stary traper z gór przygarnął go i wychował. Wyjaśnił, że zamiast map i książek w szkole poznawał ślady wszystkich zwierząt, które żyją w głuszy, a także wygląd każdego gatunku drzewa w okolicy.

Linda opowiedziała mu o swoim życiu, zupełnie innym, zwykłym, uporządkowanym. I o swoim narzeczonym, młodym człowieku z poważanej i niesłychanie bogatej rodziny, który może dać jej wszystko, czego kobieta może oczekiwać od mężczyzny, jak twierdzi jej własna matka. W związku z tym nie ma sensu, by dalej...

W tym momencie ją pocałował. Usiłowała go odepchnąć, ale kiedy ich wargi się spotkały, ramiona same objęły jego szyję.

W jego oddechu nie czuć było woni alkoholu i cygar, jak w przypadku jej narzeczonego. Nie obściskiwał jej lubieżnie. Pachniał wyprawioną skórą, dymem z ogniska, sosnami.

Nagle wysunęła się z jego ramion, skoczyła na równe nogi i zaczęła maszerować w stronę fortu. Podążył za nią, ale nawet nie próbował jej dotknąć. Rosebud przestała pogryzać trawę i potruchtała ich śladem.

- Zostań ze mną. Szepczący Wietrze. Jesteśmy dla siebie przeznaczeni. Tak zostało powiedziane, dawno, dawno temu.

- Nie mogę. To jakiś obłąd. Jestem zaręczona.

- Powiedz mu, że będzie musiał poczekać.

- To niemożliwe.

Przez bramę wyjeżdżał właśnie wóz z plandeką, kierując się w stronę odległego parkingu. Linda podbiegła do niego i wskoczyła do środka. Ben Craig dosiadł Rosebud i ruszył za wozem.

Na parkingu pasażerowie wysiedli z wozu i zajęli miejsca w oczekującym na nich autokarze.

- Szepczący Wietrze! - zawołał Craig. - Przyjedziesz tu jeszcze?

Kilka kobiet spojrzało z oburzeniem na młodego jeźdźcę o dzikim wyglądzie, który najwyraźniej naprzykrzał się tej miłej dziewczynie. Drzwi autokaru zamknęły się, a kierowca włączył silnik. Pasażerowie wewnątrz usłyszeli donośne wołanie:

- Szepczący Wietrze, jedź ze mną w góry i zostań moją żoną!

Kierowca dodał gazu. Autokar zaczął podskakiwać na wyboistej drodze. Linda Pickett wstała ze swojego fotela przy oknie i odsunęła szybę. Czarne włosy rozwiały się wokół jej głowy i wiatr za nią Benowi odpowiedź:

- Dobrze, Benie Craigu! Zostanę twoją żoną!

MICHAEL Pickett był prawdziwą opoką swojej społeczności, prezesem Banku Farmerskiego w Billings. Zaczął w nim pracę jako skromny kasjer tuż przed Pearl Harbor, jednak z czasem dorobił się stanowiska wicedyrektora. Swoją pracowitością, uczciwością i skrupulatnością zasłużył na uznanie właściciela banku, starego, bezdzietnego kawalera. Przechodząc na emeryturę, zaproponował on Michaelowi Pickettowi, by odkupił od niego bank. Chciał, by ktoś kontynuował jego dzieło. Załatwili kredyt i dobili targu. Z czasem Pickettowi udało się spłacić większość długu, ale w latach sześćdziesiątych pojawiły się problemy: nadmierne zadłużenie, złe zabezpieczenia, niewyegzekwowane spłaty. Pickett był zmuszony wprowadzić bank na giełdę i podnieść jego kapitał, wypuszczając na rynek akcje.

Teraz pan Pickett udawał się na spotkanie z ojcem narzeczonego swojej córki. Został zawezwany do jego posiadłości, imponującego rancza na brzegu rzeki Yellowstone, na południowy zachód od Billings. Co prawda spotkali się już raz, na zaręczynach dzieci, ale miały one miejsce w sali restauracyjnej Klubu Hodowców Bydła.

Bankiera wprowadzono do ogromnego gabinetu o lśniącej, drewnianej podłodze i przepięknej boazerii, udekorowanego trofeami myśliwskimi, dyplomami w ramkach i głowami byków. Mężczyzna siedzący za wielkim biurkiem nie podniósł się na powitanie. Gestem dłoni wskazał przybyszowi stojące po drugiej stronie biurka krzesło. Kiedy ten już usiadł, ranczer i potentat w jednej osobie nie spieszenie odwinął ogromne cygaro, przypalił je, a dopiero potem podsunął bankierowi pod nos kartkę papieru. Pickett przeczytał jej treść. Był to list napisany przez jego córkę.

- Jest mi bardzo przykro - rzekł. - Powiedziała mi o tym. Wiem, że napisała ten list, ale nie czytałem go wcześniej.

Ranczer pochylił się nad biurkiem, podniósł ostrzegawczo palec do góry, wydał nalane policzki i rzucił mu wściekle spojrzenie spod ronda stetsona, który nosił zawsze, nawet w biurze.

- Nic z tych rzeczy! - warknął. - Nic z tych rzeczy, rozumiemy się? Żadna dziewczyna nie będzie w ten sposób traktowała mojego chłopaka.

Bankier wzruszył ramionami.

- Jestem tak samo poruszony - powiedział. - Ale młodzi ludzie... czasami zmieniają zdanie. Oboje są jeszcze bardzo młodzi. Może podjęli decyzję o małżeństwie zbyt pochopnie?

- Po prostu pogadaj z nią. Wyjaśnij jej, że popełniła paskudny błąd.

- Już z nią rozmawiałem. Żona też. Linda chce zerwać zaręczyny.

Ranczer rozparł się wygodnie w fotelu i rozejrzał po gabinecie, upajając się myślą, jak daleko zaszedł od czasów, gdy był tylko zwykłym kowbojem.

- Nie z moim chłopakiem takie numery - syknął, po czym pchnął plik dokumentów w kierunku bankiera. - Przeczytaj sobie.

Rzeczywiście, William Braddock, zwany Wielkim Billem, zrobił ogromną karierę. Jego dziadek przez całe życie był sprzedawcą w sklepie. Nigdy nie awansował, choć nigdy też nie stracił pracy. Jego ojciec poszedł tym samym śladem, ale już on sam zatrudnił się na ranczu hodowcy bydła.

Był wysoki, potężny i miał awanturniczy charakter. Wszelkie spory rozstrzygał pięściami,

niemal zawsze na swoją korzyść. Sprytu też mu nie brakowało. Po wojnie dostrzegł nadarzącą się okazję: ciężarówki-chłodnie, w których można przewozić wyborną wołowinę z Montany do sklepów odległych o setki kilometrów.

Zaczął w pojedynkę, od ciężarówek, potem założył własną rzeźnię i sieć sklepów mięsnych, aż w końcu przejął kontrolę nad całą branżą. Kiedy ostatecznie zajął się też hodowlą bydła, był już powszechnie uznanym potentatem.

Ranczo Bar-T, kupione dziesięć lat wcześniej, było najbardziej reprezentacyjną posiadłością na brzegu rzeki Yellowstone. Pani Braddock, cicha i drobna kobietka, dała mu tylko jednego syna, ale jabłko padło daleko od jabłoni. Kevin, rozpuszczony dwudziestopięcioletek, drżał ze strachu przed ojcem, jednak Wielki Bili nie widział świata poza swoim jedykiem.

Kiedy Michael Pickett skończył czytać, był dosłownie szary na twarzy i rozedrgany.

- Nie rozumiem - wyjąkał.

- Cóż, Pickett, to bardzo proste. Przez ostatni tydzień skupowałem wszelkie twoje zobowiązania finansowe w całym stanie. A to oznacza, że jestem teraz większościowym udziałowcem banku. Bank należy do mnie. A wszystko to zawdzięczasz swojej córce. Nie powiem, ładniutka, ale bardzo głupia. Nie wiem, kim jest ten drugi facet i nic mnie to nie obchodzi, ale każ jej by go rzuciła. Ma napisać list do mojego syna i wyjaśnić w nim, że ich zaręczyny są nadal aktualne.

- A jeśli nie zdołam jej przekonać?

- To jej powiesz, że bierze odpowiedzialność za twoją kompletną ruinę. Przejmę twój bank, twój dom, wszystko co posiadasz. Dociera to do ciebie?

Michael Pickett wracał załamany. Wiedział, że Braddock nie żartuje. Wcześniej już zdarzało mu się w ten sam sposób wykończyć ludzi, którzy mu się narazili. Braddock zażądał też, by ślub przyspieszono. Ma się odbyć w połowie października. Za miesiąc.

Narada rodzinna była bardzo przykra. Pani Pickett co chwila zmieniała front, raz złoścąc się na córkę, raz próbując ją zrozumieć. No bo co jej w ogóle strzeliło do głowy? Czy zdaje sobie sprawę, co zrobiła? Małżeństwo z Kevinem zapewni jej to wszystko, na co inni muszą pracować całe życie: piękny dom w centrum wielkiej posiadłości, idealny do wychowywania dzieci, najlepsze szkoły dla nich, pozycję społeczną. Jak mogła zrezygnować z tego wszystkiego dla głupiego zauroczenia bezrobotnym aktorzyną?

Wytrącony z równowagi, Michael Pickett raz po raz przecierał grube szkła okularów.

Wyglądał okropnie załóżnie. To jego rozpacz ostatecznie przekonała Lindę. Poszła do swego pokoju i napisała dwa listy.

Pierwszy skierowany był do Kevina Braddocka. Przyznała w nim, że zauroczyła się jak pensjonarka młodym kowbojem, ale to już definitywnie skończone. Była głupia i dziecinna, ale teraz prosi Kevina o wybaczenie. Ma nadzieję, że ich zaręczyny są aktualne i nie może się doczekać drugiej połowy października, kiedy zostanie wreszcie jego żoną.

Drugi zaadresowała następująco: Szanowny Pan Ben Craig, Fort Heritage, hrabstwo Big Horn, Montana. Oba listy wysłała następnego dnia.

POMIMO swojej obsesji na punkcie autentyzmu, profesor Ingles uczynił jeszcze dwa ustępstwa na rzecz nowoczesności. Do fortu wprawdzie nie podłączono ani jednej linii telefonicznej, ale na biurku majora stał radiotelefon na baterie. Ponadto fort był regularnie zaopatrywany w pocztę. Ben Craig otrzymał swój list po czterech dniach.

Usiłował go przeczytać, ale nie za bardzo mu to wychodziło. Dzięki lekcjom Charlie przyswoił sobie drukowane litery, ale nie potrafił uporać się z odręcznym pismem młodej kobiety. Zaniósł więc list do Charlie, która odczytała go po cichu, po czym spojrzała na Craiga ze współczuciem.

- Tak mi przykro, Ben. To od tej dziewczyny, która tak ci się spodobała, prawda?

- Przeczytaj mi go, Charlie.

“Drogi Benie - zaczęła, odchrząknawszy. - Dwa tygodnie temu postąpiłam wyjątkowo nierozważnie. Kiedy zawołałeś coś do mnie, jadąc konno za autokarem, ja odkrzyknęłam, że cię poślubię. Dopiero w domu uświadomiłam sobie, że było to z mojej strony wyjątkowo głupie.

Jestem przecież zaręczona ze wspaniałym młodym człowiekiem, którego znam od lat. Nie mogę zerwać zaręczyn. Pobierzemy się w przyszłym miesiącu.

Bardzo cię proszę, życz mi szczęścia, podobnie jak ja życzę go tobie. Przesyłam pożegnalny pocałunek. Linda Pickett”.

Charlie złożyła list i oddała go Benowi, który odwrócił się w stronę gór i zamyślił. Wyciągnęła rękę i położyła na jego dłoniach.

- Bardzo mi przykro, Ben. Ale tak się zdarza. Dwa statki mijające się nocą. Najwyraźniej z jej strony było to tylko dziewczęce zauroczenie. Potrafię ją zrozumieć. Ale teraz podjęła decyzję o poślubieniu narzeczonego.

Craig nie widział w życiu żadnego statku, nie mógł więc zrozumieć jej przenośni. Wpatrywał się tylko w swoje góry, a po chwili spytał:

- Kto jest jej wybrańcem?

- Nie wiem. Nie napisała.

- Mogłabyś się dowiedzieć?

- Zaraz, zaraz, Ben. Chyba nie zamierzasz narobić sobie jakichś kłopotów?

Dawno temu dwóch młodych ludzi pobiło się o Charlie. Wtedy całkiem jej to schlebowało. Ale teraz nie chciała, by jej młody podopieczny wdawał się w bójkę o dziewczynę, która bawi się jego uczuciami.

- Charlie, ja chcę tylko tego, co jest moje w oczach ludzi i Wszechobecnego Ducha. Tak jak to zostało powiedziane dawno temu.

Znów mówił zagadkami, więc postanowiła pokierować rozmową.

- Ale nie chodziło wtedy o Linde Pickett, prawda?

Craig zastanowił się przez chwilę, żując żdźbło trawy.

- Nie, nie o Linde Pickett - odparł w końcu.

- Dajesz słowo?

- Daję.

- Zobaczą, co da się zrobić.

Charlie Bevin zadzwoniła do koleżanki pracującej w "Billings Gazecie" i poprosiła ją o wyszukanie w archiwalnych numerach zawiadomienia o zaręczynach młodej kobiety o nazwisku Linda Pickett. Cztery dni później otrzymała wycinek, który ukazał się na początku lata. Pan Michael Pickett oraz pan William Braddock z małżonkami z radością informują o zaręczynach swoich dzieci, Lindy i Kevina. Charlie uniosła brwi i zagwizdała.

- To pewnie syn Wielkiego Billa Braddocka - powiedziała Craigowi. - Słyszałeś o nim? To ten król befsztyków.

Craig pokręcił głową.

- No jasne, nie słyszałeś - westchnęła zrezygnowana Charlie. - Chadzasz tylko własnymi ścieżkami. Cóż, jego ojciec jest bardzo bogaty. Ma wielką posiadłość na północ stąd, nad brzegiem Yellowstone. Wiesz, gdzie jest Yellowstone?

Craig skinął głową. Objechał z generałem Gibbonem każdą piędź ziemi wzdłuż jej południowego brzegu, od Fort Ellis aż do miejsca połączenia z rzeką Tongue, daleko na wschód

od Rosebud.

- Charlie, mogłabyś się dowiedzieć o datę ślubu?

- A pamiętasz o swoim słowie?

- Mhm,

Charlie jeszcze raz zadzwoniła do koleżanki. Przyszedł październik. Wciąż było ciepło i ładnie. Długoterminowa prognoza pogody zapowiadała długie babie lato aż do końca miesiąca.

Dziesiątego października wraz z pocztą pojawił się numer "Billings Gazette". Charlie odczytała Craigowi kronikę towarzyską.

Notatka donosiła z emfazą o zbliżającym się ślubie pana Kevina Braddocka z panną Lindą Pickett. Odbędzie się na wspaniałym ranczu Bar-T należącym do Braddocków, leżącym na południe od Laurel Town, 20 października o godzinie 14.00. Biorąc pod uwagę łagodną aurę, uroczystość zaplanowano na rozległych terenach posiadłości, pod gołym niebem. Uczestniczyć w niej ma tysiąc zaproszonych gości, w tym elita stanu Montana.

Ben Craig skinął głową i zapamiętał.

Następnego dnia komendant fortu zwołał apel i wygłosił przemówienie na dziedzińcu. Letnia przygoda w Fortcie Heritage kończy się 21 października. Już teraz można powiedzieć, że całe przedsięwzięcie okazało się prawdziwym sukcesem. Przyszły liczne gratulacje od władz szkolnych i członków stanowej legislatury.

- Przez ostatnie cztery dni przed zamknięciem fortu czeka nas dużo ciężkiej pracy - mówił profesor Ingles. - Przed odjazdem musimy wszystko posprzątać, pochować i przygotować na zimę.

Po apelu Charlie wzięła Bena Craiga na stronę.

- Posłuchaj, Ben, zbliżamy się do końca - powiedziała. - Niedługo wszyscy będziemy mogli wrócić do naszych własnych ubrań. Och przepraszam, zapomniałam, że to jest twoje normalne ubranie. Dostaniesz niezłe wynagrodzenie za swoją pracę tutaj. Możemy pojechać do Billings, kupić ci adidas, dzinsy, kilka sportowych koszul i ciepłą kurtkę na zimę. Potem chcę cię zabrać do Bozeman. Znajdę ci jakieś mieszkanie i poznam z paroma osobami, które mogłyby ci pomóc.

- Dobrze, Charlie.

Tego wieczoru Ben zapukał do drzwi profesora. John Ingles siedział za biurkiem. W rogu pomieszczenia stał piec, w którym paliły się polana, bowiem pod koniec dnia robiło się już

chłodno. Profesor powitał Craiga serdecznie. Młodzieniec zaimponował mu umiejętnością życia w głuszy, znajomością historii pogranicza i tym, że ani razu nie wyłamał się z odgrywanej roli.

- Ben, chłopcze, co mógłbym dla ciebie zrobić? - spytał ciepło profesor Ingles.

Liczył, że może nadarzy się okazja udzielenia mu kilku ojcowskich porad.

- Czy ma pan może mapę, panie majorze?

- Mapę? Dobry Boże, tak, pewnie tak, ale o jaki rejon dokładnie ci chodzi?

- O okolice naszego fortu i tereny na północ od niego aż po rzekę Yellowstone.

- Niezła myśl. Należy wiedzieć, gdzie się człowiek znajduje. Proszę - rzekł, rozpościerając mapę na biurku.

Craig widział już wcześniej mapy wojskowe, ale widniały na nich zazwyczaj jedynie miejsca charakterystyczne zaznaczone przez zwiadowców lub traperów. Ta zaś była cała pokryta liniami i kolorowymi plamami.

- Tu, pod północnym zboczem Pryoru Zachodniego, znajduje się nasz fort - pokazywał profesor. - Na północ od niego płynie rzeka Yellowstone. Tu jest Billings, a tu miasto, w którym mieszkam, Bozeman.

Craig przesunął palcem po linii dzielącej oba miasta, odległe od siebie o sto sześćdziesiąt kilometrów.

- To szlak Bozemana, prawda? - spytał.

- Zgadza się. Tak go dawniej nazywano. Teraz biegnie tamtędy oczywiście asfaltowa szosa.

Craig nie wiedział, co to jest asfaltowa szosa. Podejrzewał, że chodzi o pas czarnego, skalnego podłoża, które widział kiedyś w świetle księżyca. Na mapie widniało kilkadziesiąt innych małych miast, a na południowym brzegu rzeki Yellowstone, u zbiegu z potokiem Clark Creek, posiadłość oznaczona jako Bar-T. Oceniał, że leży ona tuż na zachód od linii biegnącej z fortu na północ. Jakieś trzydzieści kilometrów. Podziękował majorowi i oddał mu mapę.

WIECZOREM 19 października Ben Craig położył się do łóżka wcześniej, zaraz po kolacji. Jego towarzysze wrócili około dziesiątej i też niebawem zasnęli. Żaden z nich nie zauważył, że Ben leży pod kocem w ubraniu.

Wstał o północy, wciągnął lisią czapkę na głowę, zabrał dwa koce i wyszedł bezgłośnie. Nikt nie widział, jak wchodzi do stajni, by osiodłać Rosebud.

Kiedy klacz była już gotowa do drogi, zostawił ją, a sam poszedł do kuźni po rzeczy, które zaplanował wziąć już poprzedniego dnia: toporek w przypinanym do pasa futerale, łom i nożyce do cięcia metalu.

Łomem wyłamał zamek w drzwiach do zbrojowni, a nożycami przeciął łańcuch przeciągnięty przez kabłąki osłaniające spusty karabinów. Wszystkie były jedynie replikami. Wszystkie, poza jednym, jego własnym sharpsem 52.

Poprowadził Rosebud do tylnych drzwi obok kaplicy, otworzył je i wyszedł na zewnątrz. Oba koce miał wciśnięte pod siodło, a skórę bizona zrolowaną i przytroczoną do grzbietu klaczy. Z lewej strony, przy jego kolanie, kołysał się karabin w futerale, a z prawej skórzany kołczan z czterema strzałami. Łuk miał zawieszony na plecach. Kiedy oddalił się blisko kilometr od fortu, dosiadł Rosebud.

W taki to sposób Ben Craig, człowiek pogranicza i zwiadowca, jedyny, który przeżył masakrę nad Little Big Horn, opuścił rok pański 1877, wjeżdżając konno w ostatnie ćwierćwiecze dwudziestego wieku.

Spojrząwszy na księżyc uznał, że jest druga w nocy. Oznaczało to mnóstwo czasu na pokonanie dystansu trzydziestu kilometrów dzielącego go od rancza Bar-T, bez forsowania Rosebud. Odnalazł Gwiazdę Polarną i zбочył o kilka stopni od kierunku północnego, który ona wyznacza.

Preria powoli ustępowała miejsca polom uprawnym. Tu i ówdzie Craig natrafiał na słupy, pomiędzy którymi rozciągnięte były druty. Przecinał je nożycami i jechał dalej. O brzasku dotarł do strumienia Clark's Creek i podążył wzdłuż jego krętego biegu na północ. Kiedy słońce wychyliło się znad wzgórz na wschodzie, ujrzał przed sobą białe ogrodzenie i tablicę z napisem: RANCZO BAR-T. POSIADŁOŚĆ PRYWATNA. WSTĘP WZBRONIONY. Odczytał napis i ruszył w kierunku głównej bramy widocznej w odległości blisko kilometra. Za nią stał ogromny dom otoczony stajniami i innymi zabudowaniami gospodarczymi. Przy bramie znajdowała się wartownia, w której okienku tliło się światelko, a wjazd zagradzał pomalowany w paski szlaban. Craig wycofał się kilkaset metrów do pobliskiego zagajnika, zdjął siodło z grzbietu Rosebud i pozwolił jej odpocząć, i skubać trawę. Sam wyciągnął się obok, ale nie zasnął, czujny jak dzikie zwierzę.

WIELKI Bili Braddock zażądał, by narzeczona jego syna została zbadana przez ich

lekarza domowego. Upokorzona do granic wytrzymałości dziewczyna nie miała innego wyjścia, jak tylko przystać na to. Przeglądając wyniki, Braddock uniósł brwi ze zdziwienia.

- Ona jest... ? - upewnił się.

Lekarz spojrzał w miejsce, które pokazywał gruby palec.

- Och, tak. Bez wątpienia. Dziewicą.

Braddock wykrzywił się lubieżnie.

- Szczęściarz z tego Kevina. A co z resztą?

- Wszystko w porządku. To piękna i zdrowa dziewczyna.

Najdrożsi projektanci wntętrz przemienili posiadłość w zamczysko z bajki. Na ogromnym trawniku, dwadzieścia metrów od ogrodzenia graniczącego z prerią, zbudowano ołtarz, a przed nim ustawiono wygodne krzesła dla gości, z przejściem pośrodku.

Za krzesłami znalazły się stoły zastawione potrawami. Nie pożałowano grosza ani na piramidy kryształowych kieliszków, ani na hektolitry przedniego, francuskiego szampana, ani na wina z najlepszych roczników. Braddock postanowił zrobić wszystko, by zaspokoić oczekiwania gości o najbardziej wyrafinowanych gustach.

Kładąc się do ogromnego łoża w noc przed weselem, Wielki Bili martwił się wyłącznie o syna. Chłopak znów przeholował z pićciem i będzie potrzebował rano przynajmniej godziny pod prysznicem, by doprowadzić się do porządku.

Aby gościom nie zabrakło rozrywki, kiedy młoda para będzie przebierać się przed podróżą na prywatną wysepkę na Bahamach, gdzie spędzą miesiąc miodowy, Braddock zaplanował prawdziwe rodeo z Dzikiego Zachodu. Wynajął trupę kowbojów, podobnie jak odźwiernych, kelnerów i kucharzy. Z całej obsługi jedynie ochroniarze byli jego pracownikami.

Opętany obawą o osobiste bezpieczeństwo, Braddock utrzymywał własną, niewielką armię. Oprócz trzech lub czterech goryli, którzy nigdy go nie odstępowali, pozostali pracowali na ranczu, zajmując się bydłem, ale wyszkoleni byli w obchodzeniu się z bronią, mieli doświadczenie kombatanckie i otrzymywali wynagrodzenie na tyle wysokie, by wypełniać wszelkie rozkazy co do joty.

Braddock rozlokował wszystkich trzydziestu mężczyzn w pobliżu domu. Dwóch stało przy głównej bramie. Jego osobista ochrona, pod komendą byłego komandosa, miała nie odstępować go nawet na krok. Pozostali udawali kelnerów.

Przez całe przedpołudnie limuzyny i luksusowe autokary wynajęte w celu dowiezienia

gości z lotniska w Billings podjeżdżały pod główną bramę, gdzie były starannie sprawdzane przed wpuszczeniem na teren posiadłości. Craig przyglądał się temu z ukrycia. Parę minut po dwunastej przyjechał pastor, a za nim muzycy.

Wkrótce po pierwszej orkiestra zaczęła stroić instrumenty. Wówczas Craig wstał i osiodłał klacz. Ruszył wolnym truchtem wzdłuż ogrodzenia rancza, aż wartownia przy głównej bramie zniknęła mu z oczu. Wtedy skręcił i pognał klacz cwałem wprost na ogrodzenie. Rosebud z gracją przefrunęła nad białymi sztachetami. Craig znalazł się na rozległej łące, czterysta metrów od widocznych w oddali zabudowań gospodarczych. Pasło się tu stado młodych longhornów.

Na przeciwległym krańcu łąki Craig znalazł bramę prowadzącą do zabudowań gospodarczych. Otworzył ją i zostawił niezamkniętą. Kiedy mijał kolejny dziedziniec, zatrzymali go strażnicy.

- Jesteś z ekipy rodea? - zapytali.

Craig skinął potakująco głową, choć nie wiedział o czym mówią.

- Chyba zablądziłeś. Pojedź w tamtym kierunku, a znajdziesz swoich koleśków. Są z tyłu domu.

Craig ruszył we wskazanym kierunku, odczekał, aż strażnicy odejdą, po czym zawrócił i pognał Rosebud w stronę muzyków.

Przy ołtarzu, w towarzystwie swego drużby, stał Kevin Braddock w śnieżnobiałym smokingu. Był o dwadzieścia centymetrów niższy od ojca, ważył o dwadzieścia kilo mniej, miał wąskie ramiona i szerokie biodra. Pyszczki na policzkach, stanowiących jego zmore, nie dało się zatuszować nawet pudrem matki.

Pani Pickett i państwo Braddock siedzieli w pierwszym rzędzie, po dwóch stronach przejścia. Na jego końcu pojawiła się Linda Pickett wsparta na ramieniu ojca. Wyglądała nieziemsko pięknie w białej jedwabnej sukni ślubnej, którą sprowadzono wprost z Paryża. Twarz miała bladą i nieruchomą. Spoglądała przed siebie bez uśmiechu.

Tysiąc głów odwróciło się, by spojrzeć na nią, kiedy ruszyła w stronę ołtarza. Za rzędami gości stały zwarte szeregi kelnerów i kelnerek. Za nimi zaś pojawił się samotny jeździec.

Michael Pickett doprowadził córkę do boku Kevina Braddocka, po czym zajął miejsce obok żony. Ta cały czas ocierała łzy. Pastor podniósł wzrok i głos.

- Umiłowani! Zgromadziliśmy się tu dzisiaj, by uczestniczyć wraz z parą młodą w

świętym sakramencie małżeństwa - rzekł, kiedy muzyka umilkła. Jeśli nawet zauważył jeźdźca stojącego pięćdziesiąt metrów przed nim na końcu przejścia, nie dał tego po sobie poznać. Kilkunastu pracowników ochrony stojących wokół trawnika spoglądało jedynie na młodą parę.

- ...który dziś połączy tych dwoje młodych - kontynuował pastor. Ze zdziwieniem zauważył dwie łzy, które spłynęły po policzkach panny młodej. Uznał jednak, że to pewnie ze wzruszenia.

- Jeśli więc ktoś zna jakąkolwiek przyczynę, dla której tych dwoje nie może się połączyć świętym węzłem, niech przemówi teraz albo zachowa to dla siebie na zawsze. - Uniósł wzrok znad księgi i obdarzył zgromadzonych promiennym uśmiechem.

- Ja przemówię. Ona jest mnie przyrzeczona.

Głos, młody i silny, dotarł do każdego zakątka rozległego trawnika. Moment później koń zerwał się do biegu, przewracając kilku kelnerów. Dwaj ochroniarze rzucili się na jeźdźca, jednak obaj zostali odrzuceni kopniakiem w twarz i polecili na plecy między gości. Mężczyźni krzyczeli, kobiety piszczwały, a usta pastora ułożyły się w idealne kółko.

Rosebud w ciągu kilku sekund przyspieszyła do galopu. Jeździec ściągnął jej cugle i szarpnął nimi w lewo, po czym pochylił się w siodle, objął ramieniem wąską, okrytą jedwabiem kibić i poderwał pannę młodą w powietrze. Przez chwilę zawisła przed jeźdźcem, po czym przerzucając nogę przez zrolowaną skórę bizona, wsunęła się na siodło za nim i przywarta do jego pleców.

Koń przemknął przed pierwszym rzędem krzeseł, przeskoczył białe ogrodzenie i pogalopował w bezkres porośniętej wysoką trawą prerii.

Wszyscy goście zerwali się z miejsc, krzyząc głośno. Stado bydła wpadło zza rogu budynku wprost na przystrzyżoną trawę. Jeden z ochroniarzy Braddocka, który siedział na końcu pierwszego rzędu, przebiegł obok pastora, wyciągnął pistolet i wycelował w oddalającego się konia. Michael Pickett wrzasnął: "Nieee!", rzucił się na goryla, chwycił go za rękę i wykręcił ją do góry. Kiedy tak się mocowali, pistolet wystrzelił trzy razy.

Tego już było za wiele dla zgromadzonych gości, jak i dla bydła. Wszyscy rozpierzchli się w popłochu. Burmistrz został popchnięty na piramidę z kryształowych kieliszków i legł na ziemi wśród kosztownych szczątków. Pastor dał nurka pod ołtarz, gdzie schronił się już pan młody.

Na zewnątrz, na podjeździe, zaparkowane były dwa radiowozy z czterema policjantami

wewnątrz. Przybyli tu, by kierować ruchem, a ponadto otrzymali coś do przegryzienia. Kiedy usłyszeli strzały, cisnęli hamburgery na ziemię i rzucili się pędem w stronę trawnika.

Na jego skraju jeden z nich dopadł jednego z uciekających kelnerów. Chwycił go za poły białej marynarki.

- Co tu się, do licha, dzieje? - wrzasnął policjant. Jego trzech koledzy spoglądali z rozdziawionymi ustami na powstałe zamieszanie. Tom Barrow, najstarszy stopniem, wysłuchał chaotycznych wyjaśnień kelnera.

- Biegnij do samochodu i poinformuj szeryfa przez radio, że mamy problem - polecił jednemu z kolegów.

Szeryf Paul Lewis zwykle nie spędzał sobotniego popołudnia w biurze, ale tym razem miał mnóstwo papierkowej roboty do skończenia przed poniedziałkiem. Było dwadzieścia po drugiej, kiedy wpadł do niego oficer dyżurny.

- Mam problem w Bar-T. Pamiętasz, chodzi o ślub syna Braddocka. Ed właśnie zgłosił, że panna młoda została porwana.

- Co? Przełącz go na mój telefon.

Na aparacie szeryfa zamigotało czerwone światelko. Natychmiast chwycił słuchawkę.

- Ed? Tu Paul. Co ty wygadujesz?

W ciszy wysłuchał wyjaśnień podwładnego. Podobnie jak dla innych stróżów prawa, porwanie było dla niego czynem zasługującym na najwyższe potępienie. Nie dość, że była to obrzydliwa zbrodnia, zazwyczaj dokonywana na dzieciach i żonach bogaczy, to jeszcze taka, którą z urzędu zajmowało się FBI. To zaś oznaczało, że wkrótce pojawi się tu chmara agentów federalnych. W ciągu całej trzydziestoletniej służby w hrabstwie Carbon, w tym dziesięcioletniego sprawowania urzędu szeryfa, miał do czynienia z trzema przypadkami wzięcia zakładników, z których żaden nie przyniósł ofiar śmiertelnych, ale nigdy nie zetknął się z porwaniem. Wyobraził sobie, że dokonała tego banda gangsterów wyposażona w szybkie samochody, a może nawet i helikopter.

- Tylko jeden człowiek na koniu? - powtórzył z niedowierzaniem szeryf. - Oszalałeś? Gdzie ją porwał? Guzik prawda, to niemożliwe, na pewno miał gdzieś ukryty samochód. Postawię zaraz wszystkich na nogi i zablokujemy główne drogi. Posłuchaj mnie, Ed. Masz zebrać zeznania od każdego świadka, który cokolwiek widział - w jaki sposób dostał się na teren, co zrobił, czym zastraszył dziewczynę i jak uciekł. A potem przekaż mi to wszystko.

Przez następne pół godziny szeryf wzywał posiłki i organizował blokady głównych dróg wyjazdowych z hrabstwa Carbon. Poleciał policjantom z drogówki, by sprawdzali każdy samochód, zarówno osobowy, jak i ciężarowy. Mieli szukać pięknej czarnowłosej kobiety w białej jedwabnej sukni. Tuż po trzeciej Ed zadzwonił do niego z samochodu stojącego pod posiadłością Braddocka.

- To wszystko robi się coraz dziwniejsze, szefie. Mamy koło dwudziestu zeznań naocznych świadków tych wydarzeń. Facet dostał się do środka posiadłości, bo wszyscy myśleli, że należy do zespołu rodeo. Ubrany był w skórzaną kurtkę i spodnie, i jechał na dużej kasztance. Miał na głowie traperską czapkę futrzaną, piórko zwisające z tyłu głowy i łuk.

- Łuk? Co za łuk?

- Zwykły łuk ze strzałami w kołczanie. Ale to nie wszystko. Jest coś jeszcze bardziej niesamowitego.

- To niemożliwe. Ale mów dalej.

- Wszyscy świadkowie twierdzą, że kiedy dojechał przed ołtarz panna młoda wyciągnęła do niego ręce. Wydawało się, że go zna, a kiedy przeskakiwali przez płot, obejmowała go w pół. Gdyby się go nie trzymała, spadłaby z konia i była teraz z nami.

Ogromny kamień stoczył się szeryfowi z serca. Przy odrobinie szczęścia będzie miał do czynienia nie z porwaniem, lecz z ucieczką panny młodej sprzed ołtarza. Uśmiech wrócił na jego dotychczas bardzo zasepioną twarz.

- Ed, czy wszyscy świadkowie to potwierdzają? Porywacz nie uderzył jej, nie ogłuszył, nie przerzucił przez grzbiet konia, nie zmusił jej do tego by z nim odjechała?

- Najwyraźniej nie. Ale narobił mnóstwo szkód. Cały przygotowany bankiet legł w ruinie, zastawa, takie rzeczy.

Szeryf uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Noo, to już okropne - zażartował. - Znamy tożsamość faceta?

- Być może. Ojciec panny młodej powiedział nam, że zakochała się w jednym z bezrobotnych aktorów, którzy pracowali latem w Fort Heritage, udając ludzi z Dzikiego Zachodu. Wiesz, o czym mówię?

Lewis dużo słyszał o Fort Heritage. Jego córka zabrała tam swoje dzieci. Podobało im się ogromnie.

- Ponoć zerwała z tego powodu zaręczyny z Braddockiem - kontynuował Ed. - Ale

rodzice przekonali ją, że to szaleństwo i wznowiła zaręczyny. Powiedzieli mi, że facet nazywa się Ben Craig.

Policjant powrócił do zbierania zeznań. Szeryf Lewis miał właśnie zadzwonić do Fort Heritage, kiedy przełączono do niego rozmowę z profesorem Inglessem.

- Może niepotrzebnie się obawiam, ale jeden z moich młodych podopiecznych zniknął dziś w nocy - zameldował profesor.

- Czy coś ukradł? - spytał szeryf.

- Cóż, w zasadzie nie. Zabrał swojego własnego konia i ubranie. Ale wziął też i karabin. Na moje polecenie oddał go do depozytu na czas pobytu w forcie. A teraz włamał się do zbrojowni, by go odebrać.

- Do czego mógłby mu być potrzebny?

- Pewnie do polowania. To miły młodzieniec, ale nieco dziki. Urodził się i wychował w górach Pryor. Nigdy też nie chodził do żadnej szkoły.

- Panie profesorze, to może być poważna sprawa. Jak pan uważa, czy on może być niebezpieczny? - spytał szeryf.

- Och, mam nadzieję, że nie.

- Co jeszcze zabrał?

- Nóż myśliwski. Zginął też toporek. Ma również czejeński łuk i cztery strzały z krzemiennymi grotami.

- Ukradł panu zabytkowe eksponaty?

- Nie, sam je wykonał.

Szeryf policzył do pięciu, bardzo powoli.

- Czy przypadkiem nie nazywa się Ben Craig? - spytał dość niepewnie.

- Tak, skąd pan wie?

- Czy może mi pan odpowiedzieć na jeszcze kilka pytań? Czy on się czasem nie wdał w romans ze śliczną, młodą nauczycielką z Billings, która przyjechała kiedyś do fortu?

Usłyszał, że profesor naradza się z kimś o imieniu Charlie.

- Wszystko wskazuje na to, że bardzo zakochał się w tej dziewczynie. Wydawało mu się, że zaakceptowała jego zaloty, ale z tego, co przed chwilą usłyszałem, wynika, iż przysłała mu niedawno list, w którym z nim zerwała. Bardzo źle to przyjął. Próbował się dowiedzieć, gdzie i kiedy odbędzie się jej ślub. Mam nadzieję, że nie zrobił z siebie głupca.

- Niezupełnie. Po prostu porwał ją sprzed ołtarza - wyjaśnił spokojnie szeryf.

- O Boże!

- Jak pan myśli, czy mógł się przesiąść z konia do samochodu?

- Nie. Nie, to wykluczone. Nie umie prowadzić. Nigdy nie siedział w samochodzie. Na pewno zostanie na grzbiecie swojego ukochanego konia i będzie nocował pod gołym niebem.

- A dokąd mógł się skierować?

- Niemal na pewno na południe, w góry Pryor. Całe życie tam polował.

- Dziękuję, profesorze. Bardzo nam pan pomógł.

Szeryf odwołał blokady dróg, po czym skontaktował się z pilotem policyjnego helikoptera należącego do hrabstwa Carbon, prosząc, by przyleciał po niego. Wreszcie nie pozostało mu nic innego, tylko poczekać na pewny jak amen w pacierzu telefon od Wielkiego Billa Braddocka.

Szeryf Paul Lewis był dobrym stróżem prawa, opanowanym i stanowczym, choć uprzejmym. Wolał pomagać ludziom niż zamykać ich za kratkami ale uważał, że prawo jest prawem i egzekwował je bezwzględnie. Miał pięćdziesiąt osiem lat i do emerytury brakowało mu niewiele ponad dwa lata. A potem - cóż, znał pewne Jeziora w Montanie i Wyoming, w których pstrągi wręcz domagały się jego osobistej uwagi.

Nie został zaproszony na ślub i wcale go to nie zdziwiło. W ostatnich latach on lub jego podwładni czterokrotnie interweniowali z powodu pijackich burd urządzanych przez Kevina Braddocka.

W każdym przypadku barmanów na czas sownie opłacono, by nie składali obciążających go zeznań. Szeryf dość tolerancyjnie podchodził do bijatyk Braddocka juniora z innymi mężczyznami, ale znacznie mniej, gdy zdarzyło mu się pobić w barze dziewczynę, która nie miała ochoty zaspokoić jego dość dziwacznych upodobań.

Szeryf zamknął go wtedy w celi i miał zamiar wnieść oskarżenie, gdy dziewczyna nagle zmieniła front i zaczęła utrzymywać, że po prostu potknęła się i spadła ze schodów.

Było jeszcze coś, czego szeryf nigdy nikomu nie ujawnił. Trzy lata temu zadzwonił do niego kolega z policji w Helenie, którego podwładni zrobili nalot na pewien klub. Była to melina narkomanów. Spisano dane wszystkich obecnych. Jednym z nich był Kevin Braddock. Jeśli nawet miał przy sobie jakieś narkotyki, zdążył się ich pozbyć, więc go zwolniono. Problem polegał na tym, że był to klub wyłącznie dla gejów.

ZADZWONIŁ telefon. Pan Valentino, adwokat Wielkiego Billa Braddocka.

- Pewnie słyszał pan, szeryfie, co zdarzyło się tu dziś po południu. Pana podwładni byli na miejscu w kilka minut później.

- Słyszałem, że uroczystość niezupełnie przebiegła według planu.

- Proszę darować sobie ironiczne uwagi, szeryfie Lewis. Miał tu miejsce przypadek brutalnego porwania, a zbrodniarza należy szybko schwytać.

- Przyjmuję do wiadomości pana opinię, panie mecenasie ale mam zeznania świadków, którzy twierdzą, że panna młoda z własnej woli znalazła się na grzbiecie konia i że wcześniej miała romans z tym młodym jeźdźcem. Bardziej wygląda mi to na wcześniej zaplanowaną ucieczkę.

- Gadanie! Gdyby dziewczyna chciała zerwać zaręczyny, mogła to zrobić. Nikt jej nie zmuszał do małżeństwa. Porwano ją z zastosowaniem przemocy. Przestępca wtargnął na prywatny teren, kopnął dwóch pracowników pana Braddocka w twarz oraz dokonał bardzo poważnych zniszczeń. Pan Braddock ma też zamiar wnieść oskarżenie. Czy zatrzyma pan tego chuligana, czy też sami mamy się tym zająć?

Szeryf Lewis nie znosił takich pogroźek.

- Mam nadzieję, panie mecenasie, że pan i pana klient nie zamierzacie wziąć sprawy we własne ręce. To byłoby nieroztropne.

Adwokat zignorował jego słowa.

- Pan Braddock jest bardzo zatroskany losem narzeczonej syna. Martwi się o jej bezpieczeństwo. To chyba postawa odpowiedzialnego obywatela, prawda? Więc zrobi pan coś, by schwytać tego drania? Zawsze jeszcze możemy powiadomić władze w Helenie.

Szeryf Lewis westchnął. Wiedział, że Braddock ma poważne wpływy w stolicy stanu. I choć tego też się nie bał, to nie ulegało wątpliwości, że Ben Craig popełnił przestępstwo.

- Jeśli tylko uda nam się go wytropić, ruszę w pościg osobiście - obiecał.

Odkładając słuchawkę, doszedł do wniosku, że lepiej byłoby dotrzeć do młodych uciekinierów przed ludźmi Braddocka. W tym momencie połączył się z nim pilot helikoptera.

- Larry, odnajdź ranczo Bar-T. Potem poleć na południe w stronę gór Pryor. Miej oczy szeroko otwarte. Patrz nie tylko przed siebie, ale i na boki - poleciał mu.

- A czego konkretnie mam szukać?

- Jeźdźca podążającego na południe, prawdopodobnie w stronę gór. Za nim na koniu siedzi dziewczyna w białej sukni ślubnej.

- Żarty sobie robisz?

- Nie. Jakiś kowboj właśnie porwał sprzed ołtarza narzeczoną syna Wielkiego Billa Braddocka.

- Chyba już go lubię - zaśmiał się pilot, zawracając z lądowiska w Billings.

- Znajdź go, Larry.

- Nie obawiaj się. Jeśli gdzieś tam jest, na pewno go zlokalizuję.

Pięć minut później pilot znalazł się nad ranczem i stamtąd ruszył wprost na południe. Utrzymywał pułap trzystu metrów, na tyle nisko by dostrzec człowieka na koniu i na tyle wysoko, by móc objąć wzrokiem szeroki pas ziemi po obu stronach helikoptera.

Z prawej dojrzał szosę numer 310 i tory kolejowe biegnące po równinie w stronę Wyoming. Przed sobą widział szczyty gór Pryor.

Na wypadek, gdyby uciekinier usiłował zmylić pościg skręcając na zachód, na drugą stronę szosy, szeryf Lewis polecił policjantom z drogówki, by patrolowali całą drogę i rozglądali się dookoła.

WIELKI Bili Braddock też nie tkwił bezczynnie. Pozostawiwszy panujący na trawniku chaos wynajętemu personelowi, wraz z członkami ochrony udał się wprost do własnego gabinetu. Nigdy nie słyszał z dobrego humoru, ale żaden z towarzyszących mu mężczyzn nie miał okazji oglądać go w stanie tak potwornej wściekłości.

- Szefie, co mamy robić? - spytał w końcu jeden z nich.

- Myśleć - warknął Braddock. - Myśleć! Jedzie konno. Koń jest mocno obciążony. Nie oddali się zbytnio. Dokąd mogłby pojechać?

Były komandos Max przyjrzał się uważnie mapie hrabstwa.

- Na pewno nie na północ, bo musiałby się przedostać na drugi brzeg Yellowstone. Rzeka jest zbyt głęboka. Tak więc, pozostaje mu południe. Może pojechał z powrotem do tego nowego fortu na wzgórzach?

- Dobra, dziesięciu z was weźmie konie i broń. Pojedziecie na południe, w rozproszonym szyku, rozciągniętym na osiem kilometrów. Macie pędzić na złamanie karku i wyprzedzić go.

Kiedy dziesięciu ochroniarzy siedziało już na koniach, Braddock wydał im ostatni rozkaz.

- Każdy z was ma przy sobie krótkofalówkę. Bądźcie w kontakcie. Jeśli któryś go dostrzeże, ma wezwać posiłki. Jak tylko przyprzecie go do muru, zabierzcie mu dziewczynę. Gdyby próbował grozić jej lub wam, wiecie co macie robić. Chyba się rozumiemy? Chcę mieć z powrotem dziewczynę. Nikogo więcej. Ruszajcie.

Dziesięciu jeźdźców wyjechało przez bramę, rozproszyło się i popędziło galopem. Uciekinier miał czterdziestopięciominutową przewagę, ale jego koń dźwigał dwoje ludzi, juki karabin i ciężką skórę bizona.

Mniej więcej w tym czasie w posiadłości Braddocka stawił się adwokat Valentino.

- Szeryf najwyraźniej niezbyt przejmuje się całą sprawą. Ale za rządził pościg. Samochody patrolujące szosy i helikopter - zdał szybko relację.

- Nie chcę, by zdążył przed nami - syknął Braddock. - Muszę natomiast znać wszystkie nowe informacje, które uzyska. Max, wyznacz ludzi do prowadzenia nasłuchu wszelkich częstotliwości policyjnych w całym hrabstwie. Stałego nasłuchu. A sam wsiadaj do mojego helikoptera. Masz wyprzedzić naszych ludzi na koniach, zlokalizować drania i naprowadzić ich na niego. Jeden helikopter nam nie wystarczy. Wynajmij jeszcze dwa. Szybko. Ruszaj!

MYLILI się wszyscy. J profesor, i szeryf, i Braddock. Craig nie kierował się w stronę gór Pryor. To byłoby zbyt oczywiste.

Osiem kilometrów na południe od rancza zatrzymał się, zdjął jeden z przypiętych do siodła kocy i otulił nim Szepczący Wiatr. Koc był wprawdzie jasnoczerwony, ale i tak mniej się rzucał w oczy niż biel jej ślubnej sukni. Po chwili odpoczynku skierował się na południowy zachód w stronę czarnego, skalnego płaskowyżu, który przemierzył poprzedniej wiosny. W odległości ponad kilometra z przodu dojrzał szereg słupów, pomiędzy którymi rozciągnięte były druty. Była to linia telefoniczna biegnąca nad torami prowadzącymi do Burlington i równoległą do nich szosą.

O WPÓŁ do czwartej Larry, lecący śmigłowcem Sikorsky, skontaktował się z szeryfem.

- Paul, mówiłeś mi, że mam szukać jednego konia? Tu na dole jest cała armia na koniach. Szeryf domyślił się, że to pościg zorganizowany przez Braddocka.

- Opowiedz mi dokładnie, co widzisz, Larry.

Głos pilota zaskrzeczał przez eter.

- Przynajmniej ośmiu jeźdźców w rozproszonym szyku, galopujących na południe. Moim zdaniem, to kowboje z rancza. Nie są specjalnie obciążeni. Jest jeszcze jeden helikopter, leci nisko wzdłuż podnóża wzgórz, zbliża się do Fortu Heritage.

Lewis zaklął pod nosem. Żałował, że zamiast tkwić w swoim gabinecie, nie siedzi teraz w kabinie helikoptera.

- Posłuchaj, Larry. Jeśli uciekinierzy są przed nimi, postaraj się dotrzeć do nich pierwszy. Gdyby psy gończe Braddocka dopadły ich przed nami, zrobią z chłopaka mokrą plamę.

- Dobra, Paul. Postaram się go odszukać.

NA RANCZU człowiek dowodzący nasłuchem radiowym wszedł do gabinetu Braddocka.

- Szefie, helikopter szeryfa leci nad naszymi ludźmi.

- Co oznacza, że będziemy mieli świadka - zauważył Max.

- Powiedz im, że mają nadal szukać - syknął Braddock. - Problemy prawne załatwimy później.

KIEDY za pięć piąta Lewis otrzymał meldunek ucieszył się, że jednak pozostał w swoim gabinecie, kierując stąd operacją.

- Mamy ich! - krzyknął przez radio podniecony głos.

- Zidentyfikuj się - polecił szeryf.

- Samochód patrolowy Tango Jeden na szosie trzysta dziesięć. Właśnie przejechał na drugą stronę szosy, kierując się na południowy zachód. Teraz zniknął już za drzewami.

- W którym punkcie trzystadziesiątki?

- Sześć kilometrów na północ od Bridger.

- Zostań tam na wypadek, gdyby przyszło mu do głowy zawrócić - polecił szeryf.

Spojrzał na mapę wiszącą na ścianie. Jadąc na południowy zachód, jeździec wkrótce dotrze do innej linii kolejowej oraz znacznie szerszej szosy międzystanowej numer 212, biegnącej wśród gór do hrabstwa Park w Wyoming.

Na szosie międzystanowej szeryf miał dwa patrole drogówki. Polecił im przez radio, by skierowały się na południe i wypatrywały jeźdźca usiłującego przejechać na drugą stronę szosy ze wschodu na zachód. Następnie skontaktował się z pilotem helikoptera.

- Larry, zlokalizowaliśmy go. Dość daleko na zachód od ciebie. Właśnie przejechał na

drugą stronę trzystadziesiątki i skierował się na południowy zachód. Możesz tam polecieć? Około sześciu kilometrów na północ od Bridger. Znow jest na otwartym terenie.

- Dobrze Paul, ale wkrótce może zabraknąć mi paliwa, a poza tym zbliża się zmierzch.

- W Badger masz lądowisko. Lataj póki możesz, a później wyląduj. Być może będziesz musiał tam spędzić noc. Powiadomię tym czasem Janey.

CAŁA ta rozmowa została przechwycona na ranczu Braddocka. Max spojrzął na mapę.

- Wcale nie jedzie w góry. To byłoby zbyt oczywiste. Kieruje się w stronę pasma Beartooth. Ma zamiar przejechać przez nie do Wyoming. Tam go już nie znajdziemy. Sprytnie. Sam bym tak zrobił.

Dyspozytor Braddocka polecił jeźdźcom, by skierowali się na południe, przejechali na drugą stronę szosy i kontynuowali pościg. Nie protestowali specjalnie, choć ich konie były już bardzo zmęczone i robiło się ciemno.

- Powinniśmy wysłać ze dwa wozy na szosę międzystanową - stwierdził Max. - Musi przez nią koniecznie przejechać po drodze do Beartooth.

Wysłano tam dziesięciu mężczyzn w dwóch wielkich samochodach terenowych.

ZBLIŻAJĄC się do szosy międzystanowej, Ben Craig zeskoczył z konia, wspiął się na drzewo rosnące na niewielkim pagórku i zlustrował przeszkodę. Biegła ona nasypem, obok linii kolejowej. Od czasu do czasu przejeżdżał nią na północ lub na południe jakiś pojazd. Wokół rozciągała się nieprzyjazna równina, kraina strumieni, skał i prerii porośniętej trawą sięgającą końskiego brzucha. Zszedł z drzewa, po czym wyciągnął z juków krzemień i krzesiwo.

Ze wschodu wiał leciutki wiatr. Kiedy ogień rozbłysnął, błyskawicznie rozprzestrzenił się na ponad kilometr na boki i zaczął się posuwać w stronę szosy. Kłęby dymu wzbity się do ciemnego nieba. Wiatr pchnął je na zachód, szybciej niż rozprzestrzeniał się pożar. Wkrótce spowiły całą szosę.

Patrol drogówki znajdujący się osiem kilometrów na północ dostrzegł dym i ruszył na południe, by sprawdzić, co się dzieje. Kiedy dym zgęstniał, policjanci zatrzymali samochód, jednak nieco za późno. W ciągu kilku sekund otoczyła ich ciemna chmura.

Kierowca ciągnika z przyczepą jadący na południe do Wyoming zrobił wszystko, co w jego mocy by zahamować, kiedy nagle dostrzegł przed sobą tylne światła samochodu. Hamulce

zadziałały prawidłowo i ciągnik zatrzymał się dosłownie kilka centymetrów przed zderzakiem radiowozu. Kierujący następnym ciągnikiem nie miał już tyle szczęścia.

Traktor z przyczepą jest dość zwrotny, pod warunkiem, że przyczepą nie zarzuci, i że obie części pojazdu nie złożą się jak scyzoryk. Kiedy drugi ciągnik wpadł na pierwszy, oba wylądowały w takiej właśnie pozycji, blokując szosę w obu kierunkach. Biorąc po uwagę, że biegła ona nasypem nie było szansy na ominięcie tej blokady.

Policjanci z drogówki zdążyli nadać jeszcze jeden meldunek do centrali, zanim musieli wysiąść z samochodu i ruszyć na pomoc kierowcom ciągników, zagubionym w gęstych kłębach dymu.

Zaraz po otrzymaniu meldunku przez centralę, w stronę wypadku ruszyły liczne samochody straży pożarnej i ruchome dźwigi. Akcja ratownicza zajęła im całą noc, ale o świcie droga była już całkowicie odblokowana.

W CAŁYM tym zamieszaniu, niewidoczny w kłębach dymu, koń wiozący dwoje ludzi przejechał truchtem przez szosę i ruszył w głąb dzikiej krainy, rozpościerającej się po zachodniej stronie. Mężczyzna miał na twarzy chustkę, dziewczyna owinęła sobie głowę kocem.

Po drugiej stronie szosy jeździec zsiadł z konia. Mięśnie pod lśniącą od potu sierścią Rosebud drżały ze zmęczenia, a przecież mieli jeszcze do pokonania blisko piętnaście kilometrów, by zna leżć schronienie wśród drzew. Szepczący Wiatr, ważąca jedynie połowę tego, co jej ukochany, przesunęła się tylko na siodło.

Ściągnęła z siebie koc. Jej biała suknia odcinała się wyraźnie na tle nadchodzącej szarówki, a rozpuszczone włosy opadały aż do pasa.

- Ben, dokąd jedziemy?

Wskazał palcem na południe. W ostatnich promieniach zachodzącego słońca szczyty pasma Beartooth wznosiły się jak płomień nad linią lasu, trzymając straż u granic krainy, gdzie czekało ich inne, lepsze życie.

- Pojedziemy przez góry do Wyoming. Nikt nas tam nie znajdzie. Wybuduję ci dom. Będę polował dla ciebie i łowił ci ryby. Będziemy wolni. Będziemy żyć tam po wieczne czasy.

Uśmiechnęła się, bo tak bardzo go kochała, bo wierzyła w to, co jej obiecał i znów czuła się szczęśliwa.

PILOT Braddocka nie miał innego wyjścia, jak zawrócić. Dotarł do rancza na resztkach paliwa.

Dziesięciu jeźdźców dojechało ostatkiem sił do małej miejscowości Bridger, gdzie znaleźli miejsce do przenocowania. Zjedli kolację i usnęli na derkach.

Larry posadził helikopter policyjny na lądowisku pod Bridger, którego kierownik zapewnił mu nocleg.

Planowanie akcji przejął na ranczu były komandos. Dziesięciu członków prywatnej armii Braddocka utknęło w Bridger z wycieńczonymi końmi. Dziesięciu innych stało bezsilnie na szosie międzystanowej zablokowanej przez ciągniki. Cała dwudziestka była uziemiona na okrągłą noc. Max siedział właśnie naprzeciwko Billa Braddocka i pozostałej dziewiątki. Czuł się w swoim żywiole, planując następny ruch zupełnie jak w Wietnamie. Na ścianie wisiała wielka mapa hrabstwa.

- Plan numer jeden - obwieścił. - Odciąć przełęcz. Dosłownie. Tu, w tym miejscu jest głęboki wąwóz przecinający góry, aż do Wyoming. Jego dnem płynie strumień Rock Creek, a obok biegnie kręta szosa, prowadząca na drugą stronę gór. Może spróbować jechać trawiastym poboczem szosy, zamiast zapuszczać się na wysokie zbocza po obu stronach. Kiedy tylko usuną blokadę na szosie międzystanowej, nasi chłopcy będą musieli błyskawicznie dotrzeć do tego punktu i obstawić drogę na granicy z Wyoming. Kiedy Craig się tam pojawi, będą wiedzieli, co robić.

- Zgoda - rzekł Braddock. - A jeśli będzie próbował przejechać tamtędy nocą?

- To niemożliwe. Jego koń jest na pewno bardzo wyczerpany. Moim zdaniem, przejechał przez szosę, bo kieruje się w stronę lasu, a potem gór. Będzie musiał się przedrzeć przez Narodowy Las Custer, cały czas wspinając się pod górę, przeciąć wąwóz West Fork, a potem znów wspinać się po zboczu, by dotrzeć na płaskowyż Silver Run. Dlatego przygotowałem też plan numer dwa. Namierzymy go dwoma wynajętymi helikopterami, zabierając po drodze chłopaków z Bridger. Rozstawimy ich na płaskowyżu, ukrytych za skałkami. Kiedy Craig wyjedzie z lasu, będzie dla nich idealnym celem.

- No i dobrze - mruknął Braddock. - Jeszcze coś?

- Plan numer trzy. Reszta z nas o świcie pojedzie konno do lasu tuż za nim, zapędzając go na skraj płaskowyżu. Tak czy inaczej, dopadniemy go jak zwierzynę łowną.

- A jeśli zaatakuje nas w lesie?

Max uśmiechnął się z wyraźną przyjemnością.

- Cóż, jestem niezłe wyszkolony w walkach w dżungli. Podobnie jak przynajmniej trzech innych naszych ludzi. Będą nam towarzyszyć. Jeśli tylko spróbuje zacząć się na nas w lesie, jest mój.

- A jak przetransportujemy tam konie, skoro szosa jest zablokowana? - spytał jeden z prywatnych żołnierzy Braddocka.

Max przesunął palcem po cieniutkiej linii zaznaczonej na mapie.

- Tu biegnie wąska droga, od szosy prowadzącej do Billings aż do Red Lodge, u wylotu wąwozu Rock Creek. W nocy przewieziemy konie przyczepami i o świcie ruszymy za nim. Proponuję, byśmy przespali się ze cztery godziny i wstali o północy.

Braddock wyraził zgodę skinieniem głowy.

- Jeszcze jedna rzecz, majorze. Jadę z wami. Kevin też. Czas byśmy obaj byli świadkami marnego końca człowieka, który tak mnie dziś upokorzył.

SZERYF Lewis również miał przed sobą mapę i doszedł do bardzo podobnych wniosków. Poprosił o pomoc policję z miasta Red Lodge. Obiecano mu, że o świcie będzie miał do dyspozycji dwanaście koni, wypoczętych i osiodłanych. W tym samym czasie Larry miał napęłnić zbiorniki helikoptera i czekać na sygnał do startu.

Szeryf sprawdził postępy ekip ratowniczych na zablokowanej szosie międzystanowej. Powiedziano mu, że przeszkoda zostanie usunięta do czwartej rano. Poprosił, by w pierwszym rzędzie przepuszczono jego dwa samochody. W ten sposób uda mu się dotrzeć do Red Lodge o wpół do piątej.

Ze znalezieniem ochotników nie było problemu. Prawdziwy pościg zazwyczaj wzbudzał ogromne emocje wśród policjantów. Po za Larrym, który czekał w Bridger na jego polecenia, szeryf miał też do dyspozycji właściciela i zarazem pilota samolotu doskonale nadającego się do obserwacji terenu. Ponadto zgromadził dziesięciu policjantów do pościgu naziemnego. To powinno wystarczyć, by dopaść jednego uciekiniera. Szeryf ponownie wbił wzrok w mapę.

- Błagam, chłopcze, tylko nie wjeżdżaj do lasu - mruknął pod nosem. - Okropnie trudno będzie cię tam znaleźć.

DOKŁADNIE w tym samym momencie Ben Craig i Szepczący Wiatr dotarli do skraju

lasu i zniknęli między drzewami. Wśród świerków i sosen panowała głęboka ciemność. Kiedy przejechali blisko kilometr, Craig zarządził postój. Rosebud znalazła między drzewami strumyczek i soczyste igły sosnowe. Zasłużyła sobie na odpoczynek.

Ben nie rozpałił ognia, ale na szczęście Szepczący Wiatr wcale go nie potrzebowała. Zwinęła się w kłębek pod ciepłą skórą i natychmiast zasnęła. Natomiast Craig chwycił toporek i odszedł w głąb lasu. Nie było go prawie sześć godzin. Kiedy wrócił, zrobił sobie godzinną drzemkę, po czym zwinął obozowisko. Wiedział, że gdzieś przed nimi znajduje się potok, nad którym dawno, dawno temu opóźnił pościg kawalerzystów i Czejenów. Zamierzał przejść na jego drugą stronę, zanim prześladowcy zblizną się do niego na odległość strzału.

Rosebud nie w pełni doszła do siebie po wczorajszym maratonie. Poprowadził ją za uzdę. Pomimo odpoczynku widać było, że nadwreżyła znacznie siły, a mieli przed sobą wiele godzin drogi, by znaleźć azyl wśród górskich szczytów.

Craig prowadził Rosebud przez godzinę, kierując się gwiazdami widocznymi między czubkami drzew. Daleko na wschodzie, ponad Black Hills, świętymi górami Dakoty, brzask zaróżowił niebo. Dotarli do pierwszego wąwozu przecinającego ich szlak, przepastnej rozpadliny zwanej West Fork.

Był tu już kiedyś. Wiedział, że jest przejście na drugą stronę, ale musiał je odnaleźć. Zabrało mu to godzinę. Rosebud napiła się zimnej wody ze strumienia, po czym, stawiając ostrożnie kroki, z trudem wspięli się po stromym zboczu na płaskowyż.

Craig dał Rosebud trochę odpocząć, a sam znalazł osłonięte miejsce, z którego mógł obserwować strumień w dole. Chciał wiedzieć, ilu ludzi go ściga. Był pewien, że mają ze sobą wypoczęte konie. Tym razem jednak było inaczej niż poprzednio. Tym razem prześladowcy mieli dziwne, metalowe skrzynie, które fruwały po niebie jak orły zawieszane pod wirującymi skrzydłami i ryczały, jak łoś na rykowisku.

EKIPA ratunkowa odblokowała szosę kilka minut po czwartej rano. Policjant z drogówki przeprowadził dwa samochody szeryfa Lewisa pomiędzy stłoczonymi autami czekającymi na przejazd i przepuścił je jako pierwsze. Ruszyli na południe do odległej o blisko dwadzieścia pięć kilometrów miejscowości Red Lodge.

Osiem minut później wyprzedziły ich dwa ogromne samochody terenowe pędzące z niebezpieczną prędkością.

- Mam ich ścigać? - spytał kierujący samochodem szeryfa policjant.

- Niech sobie jadą - odparł Lewis.

Wozy terenowe z rykiem silników przemknęły przez budzącą się właśnie miejscowość Red Lodge i ruszyły w stronę Rock Creek.

Wąwóz stopniowo się zwężał, a jego zbocza stawały się coraz bardziej strome. Po prawej stronie mieli stu pięćdziesięciometrową przepaść, której dnem płynął wartki strumień, a po lewej porośniętą drzewami, skalistą ścianę. Serpentina drogi wiła się teraz ostro.

Jadąca przodem terenówka pokonała piąty zakręt zbyt szybko, by dostrzec pień świeżo zwalonej sosny leżący w poprzek drogi. Karoseria auta przeleciała przez niego, natomiast podwozie pozostało w miejscu. Dziesięć nóg pasażerów splątało się w kabinie. Cztery z nich były złamane. Do listy obrażeń należało dodać złamanie trzech rąk, dwóch obojczyków oraz jednego stawu biodrowego.

Kierowca drugiego samochodu miał oczywisty wybór: skrócić w prawo i wpaść w przepaść lub skrócić w lewo i wbić się w zbocze góry. Skręcił w lewo, ale nie wygrał starcia z górą.

Dziesięć minut później, kiedy najlżej ranny z mężczyzn, utykając, ruszył szosą z powrotem, by poszukać pomocy, zza zakrętu wyjechała ciężarówka z przyczepą. Kierowca natychmiast wcisnął hamulec, jednak przyczepa wpadła w poślizg, po czym jak gdyby w formie niemego protestu, powoli przewróciła się na bok.

SZERYF Lewis oraz jego siedmiu podwładnych zostali powitani w Red Lodge przez miejscowego policjanta, któremu towarzyszyły konie oraz dwóch strażników leśnych. Jeden z nich rozpostarł mapę na masce samochodu i wskazał palcem interesujące ich punkty.

- Narodowy Las Custer jest podzielony na dwie części przez płynący ze wschodu na zachód strumień West Fork - powiedział. - Po tej stronie są szlaki i kempingi dla turystów, którzy przyjeżdżają tu latem. Ale wystarczy przekroczyć strumień, by znaleźć się w głębokiej głuszy. Jeśli uciekinier to zrobił, będziemy musieli tam za nim wkroczyć. Ponieważ jednak nie można liczyć na żadne drogi, trzeba będzie ruszyć konno.

- Gęsty jest ten las?

- Bardzo gęsty - odparł strażnik leśny. - Liście nie opadły jeszcze z drzew. Wyżej zaczyna się las sosnowy, a za nim skalisty płaskowyż prowadzący aż do gór. Czy ten pana ptaszek da

sobie radę w takim terenie?

- Z tego, co mi wiadomo, urodził się i wychował w prawdziwej głuszy - westchnął szeryf.

- Nie szkodzi, na szczęście mamy do naszej dyspozycji nowoczesną technikę - wtrącił drugi strażnik. - Helikoptery, samoloty zwiadowcze, krótkofalówki. Znajdziemy go.

Mieli właśnie pozostawić samochody i wyruszyć dalej na koniach, kiedy szeryf otrzymał wiadomość od kontrolera ruchu lotniczego z Billings Field, przekierowaną przez jego biuro.

- Mam tu dwa wielkie helikoptery, które przygotowują się do startu - powiedział kontroler. Był on starym, dobrym znajomym szeryfa Lewisa. Wspólnie jeździli na pstrągi, a niewiele rzeczy wiąże mężczyzn mocniej niż łowienie ryb.

- Dałbym im pozwolenie na start, ale zostały wynajęte przez Wielkiego Billa Braddocka. Jako cel lotu podali Bridger. Wiem od Larry'ego, że masz tam jakieś problemy. Coś w związku z weselem na ranchu Bar-T, prawda? Wciąż trąbią o tym w radiu i telewizji.

- Przetrzyмай ich trochę. Daj mi dziesięć minut.

- Nie ma sprawy - odrzekł kontroler, po czym przekazał wiadomość pilotom, że w związku z pojawieniem się innego statku w przestrzeni powietrznej, muszą poczekać na start.

Szeryf Lewis przypomniał sobie to, co Lany mówił mu o jeźdźcach z rancha kierujących się na południe w pościgu za uciekinierami. Na pewno dopadły ich ciemności i musieli przenocować na otwartej prerii lub w Bridger. Czyli teraz jadą na wypoczętych koniach. Natychmiast poprosił o połączenie z innym swoim kolegą, szefem Federalnej Agencji Nadzoru Lotniczego w Helenie.

- Lepiej, żeby to była ważna sprawa, Paul - mruknął obudzony tym telefonem urzędnik federalny. - W niedzielę lubię pospać.

- Mam tu problem z dwojgiem uciekinierów, którzy kierują się w stronę Absaroka. Ścigam ich wraz ze swoimi ludźmi i dwoma strażnikami leśnymi. Ale znalazło się kilku nadgorliwych obywateli, którzy najwyraźniej mają ochotę zamienić tę obławę w strzelanie do indyków. A pewnie zaraz dołączą do nich reporterzy. Czy mógł byś ogłosić Absaroka obszarem zamkniętym? Tylko na dzisiaj.

- Jasne.

- Na lądowisku Billings Field czekają na start dwa helikoptery.

- Kto dzisiaj kieruje ruchem w Billings?

- Chip Andersen.

- Możesz mi to zostawić.

Dziesięć minut później wieża skontaktowała się z pilotami helikopterów Braddocka.

- Przepraszam za opóźnienie. Na szczęście samolot opuścił już naszą przestrzeń powietrzną. Macie pozwolenie na start i lot, z wyjątkiem obszaru zamkniętego przez władze federalne.

- To znaczy?

- Zamknięty jest cały teren Absaroka, do wysokości tysiąca pięciuset metrów.

Kiedy chodzi o bezpieczeństwo w lotnictwie, każde polecenie i zarządzenie Federalnej Agencji Nadzoru Lotniczego jest świętością. Żaden z pilotów nie miał zamiaru utracić licencji. Wyłączyli więc silniki, a wirniki powoli przestały się kręcić.

WIELKI Bili Braddock i towarzyszących mu dziesięciu ludzi dotarli tuż przed świtem do drogi biegnącej z północnego zachodu. Osiem kilometrów od Red Lodge, na skraju lasu, wylądowali konie z przyczep, sprawdzili broń, wskoczyli na siodła i wjechali między drzewa.

Braddock miał przy sobie krótkofalówki i był w stałym kontakcie z nasłuchem radiowym na ranczu. Kiedy światło zaczęło się przedzierać przez korony drzew, dowiedział się, że dziesięciu jego ludzi zniesiono na noszach z szosy nad Rock Creek, a dziesięciu innych utknęło na lądowisku pod Bridger. Można było zapomnieć o planie numer jeden i planie numer dwa.

- Sami dopadniemy sukinsyna - warknął Braddock. Cała grupa wjechała w las w rozproszonym na czterysta metrów szyku, poszukując świeżych śladów końskich kopyt. Pół godziny później jeden z mężczyzn natrafił na odciski kopyt Rosebud, którym towarzyszyły ślady mokasynów. Wezwał resztę grupy przez krótkofalówkę. Dalej ruszyli wspólnie. Półtora kilometra za nimi posuwał się od dział szeryfa Lewisa.

STRAŻNIKOM leśnym odnalezienie śladów zajęło znacznie mniej czasu, bo zaledwie dziesięć minut.

- Ile koni mają uciekinierzy? - spytał jeden z nich.

- Tylko jednego - odparł Lewis.

- Tu widać więcej śladów - powiedział strażnik. - Doliczyłem się przynajmniej czterech koni.

- Niech to wszyscy diabli! - zaklął szeryf. Przez krótkofalówkę poprosił telefonistkę w

swoim biurze, by połączyła go z mecenasem Valentino, który na pewno jest w tej chwili u siebie w domu.

- Mój klient jest głęboko zatroskany losem tej młodej damy, szeryfie. Całkiem możliwe, że zorganizował grupę poszukiwawczą. Mogę pana zapewnić, że działa wyłącznie w granicach prawa.

- Niech mnie pan posłucha, mecenasie. Jeśli któremuś z tych dwojga młodych coś się stanie, jeśli któreś z nich zginie, potraktuję to jako sprawę o morderstwo. Proszę to przekazać swojemu klientowi.

Rozłączył się, zanim adwokat zdążył zaprotestować.

- Paul, ten facet porwał dziewczynę i jest uzbrojony - mruknął zastępca szeryfa, Tom Barrow. - Być może my też będziemy musieli najpierw strzelać, a potem zadawać pytania.

- Wielu świadków zeznało, że dziewczyna sama wskoczyła na konia - zachnął się Lewis. - Nie dopuszczę, by ktoś stracił życie wyłącznie z powodu potłuczonych kieliszków i dwóch kopniaków w twarz.

- Tak jest, i dwóch kopniaków w twarz.

- I pożaru na prerii oraz zablokowania szosy międzystanowej.

- Już dobrze, dobrze. Wiem, że lista robi się długa. Ale on tylko ucieka z ładną dziewczyną, wycieńczonym koniem i karabinem z tysiąc osiemset pięćdziesiątego drugiego roku. No tak. Jeszcze z łukiem i strzałami. My mamy wszelkie nowoczesne środki techniczne. On nie ma praktycznie nic. Wolałbym, żebyś nie zatracił właściwych proporcji. I zajmij się lepiej śladami.

BEN Craig leżał ukryty w zaroślach, przyglądając się pierwszym jeźdźcom, którzy przybyli nad strumień. Z odległości pięciuset metrów rozpoznał zwałistą postać Wielkiego Billa Braddocka i znacznie mniejszą jego syna, który tak bardzo obtarł sobie siedzenie, że nie wiedział, jaką pozycję przyjąć w siodle. Jeden z ludzi Braddocka miał na sobie nie ubiór kowbojski, lecz wojskowe moro, także buciory i beret.

Nie musieli szukać zejścia po stromym zboczu nad strumień ani ścieżki na drugą stronę wąwozu. Po prostu pojechali śladami Rosebud, zgodnie z jego przewidywaniami. Szepczący Wiatr nie mogła iść po kamieniach w swych eleganckich pantofelkach, a nie było też możliwości, by zatrzeć ślady kopyt Rosebud odcisnięte w miękkiej ziemi.

Patrzył, jak schodzą do płynącego wartko strumienia, zatrzymują się, by napić się wody i obmyć twarze.

Nikt nie usłyszał świstu strzał i nikt nie wiedział, skąd nadlatują. Zanim opróżnili magazynki, strzelając na oślep do drzew porastających drugi brzeg wąwozu, łucznik zdążył już zniknąć. Biegąc cicho i nie zostawiając żadnych śladów, dopadł do swojego konia i dziewczyny, po czym poprowadził ich dalej w stronę gór.

Obie strzały trafiły, wbijając się w miękkie ciało, aż do kości. Dwaj mężczyźni leżeli na ziemi, zwijając się z bólu. Max, weteran wojny wietnamskiej, wbiegł na południowe zbocze, padł na ziemię i zaczął rozglądać się po zaroślach, w których zniknął napastnik. Nie dojrzał nic.

Ludzie Braddocka pomogli swoim rannym towarzyszom wspiąć się z powrotem na krawędź wąwozu. Ranni nie przestawali krzyczeć z bólu.

- Szefie, musimy ich stąd zabrać - powiedział jeden z ochroniarzy. - Trzeba ich zawieźć do szpitala.

- Dobrze, wsadźcie ich na konie i niech wracają.

- Szefie, oni nie mogą jechać konno. Nie mogą nawet iść.

Nie było innego wyjścia, jak tylko naciąć gałęzi i przygotować z nich prowizoryczne nosze. Do niesienia rannych potrzebni byli czterej mężczyźni. W godzinę później, ograniczona do sześciu osób kompania Braddocka zebrała się na drugim brzegu strumienia, chroniona karabinem majora Maxa. Czterech noszowych ruszyło z powrotem w las. Nie przyszło im nawet do głowy, że umieszczenie rannych na toboganach oznaczałoby oszczędność sił i ludzi.

Usłyszawszy strzelaninę, szeryf zaczął się obawiać najgorszego. Jednak w tak gęstym lesie galop do przodu groził oberwaniem kulką. Wkrótce napotkali noszowych posuwających się z trudem ścieżką wydeptaną przez konie.

- Co im się stało? - spytał szeryf, a żołnierze Braddocka pośpieszyli z wyjaśnieniami. - Udało mu się uciec?

- Tak. Major Max dobiegł na drugą krawędź wąwozu, ale już go tam nie było.

Noszowi podążyli dalej przez las w stronę cywilizowanego świata, a drużyna szeryfa rażno ruszyła do przodu. Od czasu do czasu oglądali się przez ramię. Obaj ranni mężczyźni leżeli na noszach na brzuchu, i każdemu z lewego pośladka sterczała pierzasta strzała czejeńska.

- Przestańcie się głupkowato podśmiewać - zachnął się szeryf, który zaczynał już tracić cierpliwość do młodego trapera uciekającego przed nimi. - Dzisiaj nie wygrywa się strzałami z

łuku. Na litość boską, mamy rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty siódmy!

Potyając się i ślizgając, policjanci przedostali się na drugą stronę wąwozu. Tu nie było już miejsc wyznaczonych dla turystów na kempingi i pikniki. Tu wszystko wyglądało tak, jak tysiące lat temu.

Trzysta metrów nad drzewami leciał helikopterem Larry, rozglądając się na wszystkie strony, aż w końcu dojrzał jeźdźców przechodzących przez strumień. To ograniczało obszar poszukiwań. Uciekinierzy musieli znajdować się z przodu, gdzieś na linii łączącej bród z górami.

Niestety, część dostępnych mu urządzeń technicznych zawodziła. Z powodu gęstego listowia nie mógł się skontaktować przez krótkofalówkę z szeryfem Lewisem. Ten co prawda słyszał głos pilota, ale trzaski były tak głośne, że nie rozumiał ani słowa.

A to, co mówił Larry, było bardzo istotne:

- Mam go. Znalazłem go!

Rzeczywiście, dojrzał pojedynczego konia prowadzonego za uzdę. Na jego grzbiecie siedziała owinięta w koc dziewczyna. Jednak widział ich tylko przez sekundę, bo natychmiast znów zniknęli między drzewami.

BEN Craig spoglądał przez listowie na nieznośnie ryczącego nad nim potwora.

- Człowiek, który nim leci, powie tym z pościgu, gdzie jesteśmy - powiedziała Szepczący Wiatr.

- Ale jakim cudem? - spytał. - Przecież to niemożliwe w takim hałasie.

- Nieważne jak, Ben. Mają swoje sposoby.

Ale młody traper też miał swoje własne. Wyciągnął z futerału karabin i naładował go. Larry opuścił maszynę na sto osiemdziesiąt metrów, licząc, że dostrzeże uciekinierów między drzewami. I wtedy właśnie mężczyzna w dole wycelował starannie i wystrzelił.

Pociski przebiły podłogę helikoptera, przeleciały między rozłożonymi udami pilota i wybiły dziury w szybie tuż obok jego twarzy. Widziany z ziemi sikorski zatoczył jeden szalony krąg, po czym szarpnął na bok i w górę, odzyskując stabilny tor lotu dopiero, gdy był półtora kilometra wyżej i półtora kilometra dalej.

Larry zaczął wrzeszczeć do mikrofonu.

- Paul, ten drań właśnie mnie ostrzelał! Zrobił mi dziury w szybie! Uciekam stąd. Muszę wrócić do Bridger i sprawdzić stan maszyny. Gdyby uszkodził mi główny silnik, już by mnie nie

było na tym świecie. Do diabła z tym wszystkim. Ja się wycofuję.

Szeryf nie usłyszał z tego ani słowa. Do jego uszu dotarła natomiast salwa ze starego karabinu i dojrzał baletowe popisy śmigłowca na tle błękitnego nieba. Po chwili zobaczył też, że maszyna znika na horyzoncie.

- Mamy nasze środki techniczne... - mruknął złośliwie jeden ze strażników.

- Zamknijcie się - syknął Lewis. - Noo, to chłopaczek pójdzie posiedzieć na długie lata. A teraz miejcie oczy i uszy szeroko otwarte. Koniec zabawy. Bierzemy się za prawdziwą obławę.

Strzały usłyszał też inny tropiciel, który znajdował się znacznie bliżej, bo około ośmiuset metrów od Craiga. Był to Max, który nieco wcześniej zaproponował, że ruszy jako zwiadowca przodem.

- On prowadzi konia, co oznacza, że ja mogę poruszać się szybciej. Nie usłyszy mnie. Jeśli wystawi mi się odpowiednio, zastrzelę go bez problemu, nawet z dziewczyną tuż obok niego.

Braddock zgodził się. Max pobiegł przodem, kryjąc się za drzewami, rozglądając się bacznie na wszystkie strony, wypatrując najmniejszego ruchu. Kiedy usłyszał strzał, wiedział doskonale, gdzie się ma kierować: w przód i nieco w prawo. Zaczął niebezpiecznie zbliżać się do uciekinierów.

BEN Craig włożył karabin z powrotem do futerału i ruszył na przód. Od krańca lasu i początku skalistego płaskowyżu zwanego Silver Run dzielił go niecały kilometr. Szczyty górujące nad czubkami drzew zbliżały się powoli. Wiedział, że spowolnił obławę, ale jej nie odstraszył. Wciąż za nim podążali.

Usłyszał krzyk ptaka, wysoko w drzewach nad sobą. Wiedział, jaki to ptak i dobrze znał ten odgłos, bezustannie tok-tok-tok cichnące w oddali. Inny ptak odpowiedział w ten sam sposób. To był ich sygnał ostrzegawczy. Zostawił Rosebud samą pogryzającą trawę, odszedł pięć metrów od szlaku wytyczonego jej śladami i b bezszelestnie zniknął pomiędzy sosnami.

Max podążał śladami kopyt klaczy, kryjąc się za drzewami, aż dotarł na skraj polanki. Ubrany w moro i z twarzą pomazaną na czarno był niewidoczny w półmroku panującym w puszczy. Rozejrzał się uważnie po polance i uśmiechnął kpiąco na widok mosiężnej łuski połyskującej na jej środku. Co za kiepski wybieg. Wiedział doskonale, że jeśli do niej podejdzie, oberwie kulą od czyhające go w ukryciu strzelca. Zaczął uważnie lustrować drzewa i zarośla po

drugiej stronie polanki.

Nagle zobaczył, że poruszyła się gałązka krzaka, wielkiego i gęstego. Lekki wiatr, co prawda wciąż kołysał listkami, ale zawsze w ten sam sposób. Ta gałązka poruszyła się w przeciwnym kierunku. Wpatrując się uważnie w krzak, dojrzał rdzawą plamę niecałe dwa metry nad ziemią. Z poprzedniego dnia zapamiętał lisią czapkę na głowie jeźdźca.

Miał przy sobie swoją ulubioną broń, karabinek M-16 o krótkiej lufie, lekki i absolutnie niezawodny. Prawym kciukiem przestawił go bezgłośnie na tryb automatyczny, po czym nacisnął spust. Pół magazynku posiekało krzak. Rdzawa plama zniknęła. Po chwili dojrzał ją na ziemi. Dopiero wtedy wyszedł z ukrycia.

Czejenowie nigdy nie używali kamiennych maczug. Preferowali stalowe toporki, którymi potrafili rzucać bardzo celnie i z niesłychaną szybkością.

Teraz właśnie ostrze toporka dosięgło bicepsa majora, rozrywając mięsień i wbijając się w kość. Karabinek wypadł mu z bezwładnej ręki. Błady jak ściana opuścił wzrok i wyrwał toporek z ramienia. Kiedy krew trysnęła, przycisnął lewą dłoń, by zatamować krwotok. Dopiero potem odwrócił się na pięcie i pobiegł z powrotem tą samą drogą, którą tu dotarł.

Zwiadowca upuścił na ziemię piętnastometrowy sznur, którym poruszył gałązką krzaka, poszedł po swoją czapkę i toporek, po czym ruszył z powrotem do konia.

Braddock, jego syn i pozostali trzej mężczyźni natknęli się na majora opartego o drzewo i ciężko dyszącego.

SZERYF Lewis i jego towarzysze usłyszeli drugą już tego dnia strzelaninę, tym razem nie był to jednak pojedynczy wystrzał z broni uciekiniera, ale seria z karabinu maszynowego. Popędzili konie i szybko dogonili ludzi Braddocka. Starszy strażnik spojrzał na roztrzaskane ramię, powiedział krótko. "Opaska zaciskowa" i otworzył podręczny zestaw pierwszej pomocy.

Kiedy opatrywał ranę usianą odłamkami kości, szeryf Lewis wysłuchał relacji Braddocka, po czym spojrzał na niego z pogardą.

- Powinienem aresztować całą waszą bandę - prychnął. - I zrobił bym to, gdyby nie fakt, że jesteśmy kawał drogi od cywilizowanego świata. Tymczasem, panie Braddock, zabieraj pan stąd swój tyłek.

- Dopilnuję tego do końca! - wrzasnął wściekły Braddock. - Ten dzikus ukradł narzeczoną mojemu synowi i ciężko ranił trzech moich ludzi...

- Których tu w ogóle nie powinno być - przerwał mu Lewis. - Mam zamiar aresztować tego człowieka i doprowadzić przed oblicze sądu, ale nie pozwolę by przy okazji ktoś stracił życie. Dla tego macie mi oddać całą swoją broń. Natychmiast.

Kilka łuf zwróciło się w stronę Braddocka i jego ludzi. Pozostali policjanci odebrali im karabiny i pistolety.

- Jak sprawa wygląda? - spytał Lewis strażnika, który zrobił wszystko, co w jego mocy, by jak najlepiej opatrzyć ranę majora.

- Trzeba go szybko odwieźć do szpitala - odparł strażnik. - Teoretycznie mógłby pojechać konno pod opieką swoich koleśków do Red Lodge, ale to ponad trzydzieści kilometrów w trudnym terenie, a do tego trzeba jeszcze przedostać się przez wąwóz West Fork. Może tego nie przeżyć. Ale przed nami rozciąga się płaskowyż Silver Run. Stamtąd powinniśmy móc nawiązać łączność radiową. Mogli byśmy wezwać helikopter.

- Co radzisz?

- Wezwać helikopter - stwierdził strażnik. - Musi natychmiast trafić na salę operacyjną, inaczej straci rękę.

Ruszyli naprzód. Na polance znaleźli porzucony karabinek i łuskę. Strażnik przyjrzał się jej uważnie.

- Strzały z krzemiennymi grotami, toporek do rzucania, strzelba na bizony... Co to, do diabła, za facet, szeryfie?

- Wydawało mi się, że wiem - odparł, drapiąc się w głowę Lewis. - Ale teraz nie wiem już nic.

- Cóż, na pewno nie jest bezrobotnym aktorzyną - westchnął strażnik.

BEN Craig stał na skraju lasu i spoglądał na połyskujący, skalisty płaskowyż. Osiem kilometrów do ostatniego. Niewidocznego stąd strumienia. Następne trzy przez płaskowyż Hellroaring i jeszcze półtora przez góry. Pogłaskał Rosebud po łbie i miękkich, wilgotnych chrapach.

- Jeszcze tylko kawałek przed zachodem słońca - poprosił ją. - Jeszcze tylko niewielki kawałek i będziemy wolni.

Wskoczył na siodło i pognął klacz cwałem po skalistym płaskowyżu. Dziesięć minut później na jego skraj dotarta pogoń. Wtedy już Ben Craig był pyłkiem ledwie widocznym z

odległości półtora kilometra.

Na otwartej przestrzeni krótkofalówki znów zaczęły działać. Szeryf Lewis skontaktował się z Larrym, by dowiedzieć się, co się stało z uszkodzonym sikorskim. Larry dotarł już do Billings Field, gdzie wynajął większy helikopter, Bella Jetranger.

- Larry, wracaj tutaj. Nie musisz się obawiać, że ktoś cię znów ostrzela. Wyprzedził nas o blisko dwa kilometry. Będziesz poza zasięgiem jego strzelby. Mieliśmy wypadek. Musisz zabrać rannego do szpitala. Skontaktuj się też z pilotem samolotu zwiadowczego. Powiedz mu, żeby poleciał nad płaskowyż Silver Run, ale nie schodził poniżej pułapu tysiąca pięciuset metrów. Ma szukać konia z dwójką jeźdźców kierujących się w stronę gór.

Było już po trzeciej i słońce zbliżało się coraz bardziej do szczytów na zachodzie. Kiedy zajdzie za góry Spirit i Beartooth, zmrok zapadnie błyskawicznie.

Wkrótce na płaskowyżu wylądował helikopter Beli pilotowany przez Larry'ego. Na jego pokład wprowadzono majora, któremu w drodze miał towarzyszyć jeden z policjantów. Larry wystartował, łącząc się ze szpitalem w Billings, by uzyskać pozwolenie na wylądowanie na parkingu i poprosić o przygotowanie sali operacyjnej.

Pozostali jeźdźcy ruszyli dalej płaskowyżem.

- Niedaleko płynie niewidoczny stąd strumień, o którego istnieniu on prawdopodobnie nie ma pojęcia - powiedział starszy strażnik, jadąc obok szeryfa. - Nazywa się Lake Fork. Jego wąwóz jest głęboki, wąski i ma strome zbocza. Istnieje tylko jedna droga, którą można przejechać na drugą stronę na koniu. Znalezienie jej zabierze mu mnóstwo czasu. Moglibyśmy go tam dopaść.

- A jeśli będzie czekał na nas ukryty między drzewami, z bronią gotową do strzału? Nie mam zamiaru narażać niczyjego życia, by coś udowodnić.

- Co w takim razie zamierza pan zrobić?

- Spoko - odparł Lewis. - Nie ma mowy, by wydostał się z gór i przeszedł do Wyoming. Przynajmniej w sytuacji, w której obserwujemy go z powietrza.

- Chyba że będzie szedł nocą.

- Ma ze sobą wycieńzonego konia i dziewczynę w jedwabnych pantofelkach. Czas mu się kończy i pewnie zdaje sobie z tego sprawę. Będziemy go obserwować z odległości mniej więcej półtora kilometra i czekać na samolot zwiadowczy.

Jechali więc dalej, nie spuszczać maleńkiej figurki z oczu. Samolot zwiadowczy dotarł

na miejsce tuż przed czwartą. Młodego pilota wezwano wprost z miejsca gdzie pracował, ze sklepu sportowego w Billings. Jego oczom ukazały się teraz czubki drzew porastających brzegi Łakę Fork.

W krótkofalówce szeryfa zachrypiał głos pilota.

- Co chcielibyście wiedzieć?

- Daleko przed nami jedzie mężczyzna na koniu. Za nim siedzi kobieta owinięta w koc.

Widzisz ich?

Samolot Piper Cub pochylił się na skrzydło.

- Jasne, że widzę. Są w pobliżu wąskiego strumyka. Wjeżdżają między drzewa.

- Trzymaj odległość. Facet ma strzelbę i sokole oko.

Ujrzeni, jak ponad trzy kilometry przed nimi piper wznosi się do góry i przechyla na skrzydło w zakręcie.

- Dobrze. Wciąż go widzę - zameldował pilot. - Zsiadł z konia i prowadzi go w dół wąwozu.

- Nigdy nie znajdzie szlaku na przeciwnym zboczu - prychnął strażnik. - Możemy go teraz dopaść.

Ruszyli cwałem. Braddock, jego syn i pozostali trzej mężczyźni, już bez broni, puścili się w ślad za nimi.

- Trzymaj się poza jego zasięgiem! - szeryf ponownie przestrzegł pilota. - Jeśli się zbliżysz, może wystrzelić spomiędzy drzew, tak jak do Larry'ego.

- Larry był wtedy na wysokości dwustu metrów - odparł pilot przez krótkofalówkę. - A ja jestem na pułapie blisko tysiąca metrów i lecę dość szybko. O, chyba nasz podopieczny znalazł drogę na krawędź przeciwnego zbocza. A teraz właśnie wspina się na płaskowyż Hellroaring.

Szeryf spojrział na strażnika i parsknął nieco ironicznie.

- Zupełnie jakby już tu kiedyś był - powiedział z niedowierzaniem w głosie strażnik.

- Może i był - syknął Lewis.

- Niemożliwe. Nikt nie może tu przebywać bez naszej wiedzy.

Kiedy dotarli do krawędzi wąwozu, okazało się, że drzewa zasłaniają widok wycieńczonego mężczyzny ciągnącego swojego konia po zboczu.

Strażnik znał jedyną drogę na przeciwną stronę wąwozu, ale ślady kopyt Rosebud świadczyły o tym, że wiedział o niej też Craig. Kiedy uciekinierzy wyłonili się z otchłani na

drugim płaskowyżu, znów wyglądali z daleka jak pyłki.

- Robi się ciemno i kończy mi się paliwo - zameldował pilot. - Muszę wracać do bazy.

- Jeszcze jedno kółko - poprosił go szeryf. - Gdzie teraz jest?

- Dotarł do podnóża góry. Znow zsiadł z konia i prowadzi go po północnym zboczu. Ale koń jest najwyraźniej wycieńczony. Wciąż się potyka. Pewnie dopadniecie go o wschodzie słońca. Udanych łowów, szeryfie!

Piper Cub zrobił nawrót na ciemniejącym niebie i odleciał w kierunku Billings.

- Jedziemy dalej, szefie? - spytał jeden z policjantów.

Szeryf Lewis pokręcił przecząco głową. Powietrze na tej wysokości było znacznie rozrzedzone, z trudem oddychali a noc zbliżała się wielkimi krokami.

- Po ciemku nie da rady. Przenocujemy tu do świtu.

Rozsiedli się wśród ostatnich drzew porastających krawędź wąwozu, twarzami w kierunku wznoszących się na południu gór, które w promieniach słońca wydawały się tak bliskie, a tak ogromne, że na ich tle mężczyzna i jego koń wyglądali jak maleńkie kropeczki.

Wyciągnęli grube, ciepłe kurtki na kożuszkę i założyli je. Stare, opadłe gałęzie, które znaleźli pod drzewami, wkrótce zapłonęły trzaskającym wesoło ogniem. Na żądanie szeryfa Braddock, jego syn i trzech podwładnych rozłożyli się na noc sto metrów dalej.

Nikt nie przewidywał, że przyjdzie im spędzić noc tak wysoko na płaskowyżu. Nie zabrali ze sobą ani śpiworów, ani prowiantu. Siedzieli na derkach ułożonych wokół ognisk, oparci o siodła i pogryzali batoniki. Szeryf Lewis wpatrywał się w ogień.

- Co zamierzasz jutro zrobić, Paul? - spytał Tom Barrow.

- Pojadę dalej sam. Bez broni. Wezmę ze sobą białą flagę i megafon. Spróbuję go namówić, by się poddał.

- To może być niebezpieczne. Może próbować cię zabić.

- Mógł dzisiaj bez trudu zabić trzech ludzi - zamyślił się szeryf - Mógł, ale tego nie zrobił. Pewnie zdaje sobie sprawę, że jeśli osaczymy go tam, w górach, nie będzie w stanie zadbać o bezpieczeństwo dziewczyny. Przypuszczam, że nie strzeli do policjanta z białą flagą. Najpierw mnie wysłucha. Warto spróbować.

CHŁÓD i ciemności otuliły góry. Ciągąc, wlekąc, błagając i ponaglając, Ben Craig przeprowadził Rosebud przez ostatni odcinek drogi do skalnej półki przed jaskinią. Klacz

zatrzymała się, drżąc na całym ciele i tocząc błędnym wzrokiem, a Ben pomógł dziewczynie zsiąść z jej grzbietu.

Craig podprowadził Szepczący Wiatr do otworu starej jaskini, odpiął śpiwór z bawolej skóry i rozłożył go na ziemi. Zabrał ze sobą kołczan z dwiema pozostałymi strzałami i łuk. Położył je obok strzelby. Na koniec zdjął siodło i juki z grzbietu Rosebud.

Kasztanka zrobiła kilka kroków w stronę karłowatych drzewek. Nagle jej tylne nogi ugięły się pod nią i usiadła ciężko na zadzie. Po chwili przednie nogi ślizgowym ruchem wyciągnęły się do przodu. Klacz przewróciła się na bok.

Craig ukląkł przy jej łbie, położył go sobie na kolanach i pogłaskał Rosebud po nozdrzach. Zarżała cichutko, czując jego dotyk. W tym samym momencie jej dzielne serce poddało się.

Ben był również wykończony. Nie spał przez dwie doby, ledwie co jadł i przebył w siodle lub na nogach ponad sto pięćdziesiąt kilometrów. Ale zostało mu jeszcze kilka rzeczy do zrobienia. Zbliżył się do krawędzi półki skalnej. Zobaczył daleko, w dole dwa obozy prześladowców. Naciął gałązek w miejscu, w którym kiedyś siedział stary szaman, po czym rozpałił ognisko. Płomienie oświetliły półkę skalną i wnętrze jaskini, oraz postać odzianą w białą jedwabną suknię dziewczyny, jedynej i ostatniej jaką kiedykolwiek miał kochać.

Wyjął z juków prowiant zabrany z fortu. Usiedli obok siebie na derce do jedynej i ostatniego posiłku, jaki kiedykolwiek mieli wspólnie spożyć.

Craig dobrze wiedział, że teraz po stracie konia, ich dalsza ucieczka nie ma szans. Ale stary szaman obiecał mu, że ta dziewczyna zostanie jego żoną, bo tak powiedział Wszechobecny Duch.

PONIŻEJ, na płaskowyżu rozmowa nie kleiła się wycieńczonym mężczyznom. Siedzieli w milczeniu, z twarzami oświetlonymi przez migoczące płomienie i wpatrywali się w ogień.

W rozrzedzonym powietrzu wysokogórskim panowała absolutna cisza. Od strony szczytów powiał lekki zefirek, ale nawet on jej nie zakłócił. Przerwał ją dopiero dziwny odgłos.

Przeszył on noc, niesiony wiatrem od gór. Był to krzyk, przeciągły i wyraźny, młodej kobiety.

Nie było w nim jednak bólu ani strachu, ale wibrująca i rozełkana nuta nieopisanej ekstazy.

Policjanci popatrzyli po sobie i odwrócili oczy. Sto metrów dalej Bili Braddock zerwał się od ogniska. Spojrzał na górę, a na jego twarzy odmalowała się wściekłość i nienawiść.

O północy temperatura zaczęła spadać. Początkowo wszyscy myśleli, że jest tak bardzo zimno ze względu na wysokość i rozrzedzone powietrze. Drżąc, opatulili się mocniej swoimi kożuchami.

Temperatura doszła do zera i wciąż spadała. Policjanci zobaczyli gęste chmury, które zaczęły się zbierać nad szczytami i zasłoniły góry. Przez moment widzieli jeszcze maleńki płomyczek w oddali, na skalnym zboczu Rearguard, ale i on wkrótce zniknął.

Wszyscy pochodzili z Montany i przyzwyczajeni byli do surowych zim, lecz pora roku była zbyt wczesna na taki mróz. O godzinie pierwszej w nocy oszacowali, że musi być chyba ze dwadzieścia stopni poniżej zera. O drugiej wszyscy byli na nogach, nie myśląc już o spaniu, za to tupiąc nogami by pobudzić krążenie krwi, chuchając w dłonie i dorzucając bezustannie gałęzi do ognia. Bez rezultatu. Zaczęły spadać pierwsze, wielkie płaty śniegu.

Starszy strażnik podszedł do Lewisa.

- Cal i ja uważamy, że należałoby zawrócić do Lasu Custer - rzekł, szczękając zębami.

- A czy tam będzie cieplej? - spytał szeryf.

- Być może.

- Co tu się dzieje, do wszystkich diabłów?

- Pomyśli pan, że zwariowałem, szeryfie.

- Oświeć mnie, do cholery.

Śnieg padał coraz gęstszy, gwiazd nie było już widać na niebie, a mroźna biała dzicz zagarniała ich coraz bardziej.

- To miejsce to pogranicze ziem Indian z plemienia Kruków i Szoszonów. Wiele lat temu, jeszcze przed przybyciem białego człowieka, walczyli tu i ginęli wojownicy. Indianie uważają, że wciąż przebywają tu duchy ich zmarłych. Twierdzą, że to magiczne miejsce.

- Doprawdy rozkoszna legenda. Ale co ma wspólnego z tą cholerną pogodą?

- Mówiłem, że to zabrzmiało nieprawdopodobnie. Oni wierzą, że czasami przybywa tu też Wszechobecny Duch, przynosząc Chłód Długiego Snu, któremu nie potrafi się oprzeć żaden człowiek. To oczywiście, tylko dziwne zjawisko klimatyczne ale mimo to uważam, że powinniśmy się stąd zabierać. Jeśli zostaniemy, zamrzniemy na śmierć przed świtem.

Szeryf Lewis zastanowił się, po czym skinął głową.

- Osiodłać konie! - polecił swym podwładnym. - Odjeżdżamy. Niech ktoś powie Braddockowi.

Strażnik zniknął w zamieci i wyłonił się z niej kilka minut później.

- Braddock powiedział, że schroni się nad strumieniem, ale nie zrobi ani kroku dalej.

Dygocząc z zimna, szeryf, strażnicy i policjanci wrócili na drugą stronę strumienia i odjechali przez płaskowyż Silver Run aż do gęstego, sosnowego lasu. Między drzewami temperatura wahała się w okolicach zera. Rozpalili kilka ognisk i dzięki temu przetrwali noc.

O wpół do piątej rano biały płaszcz otulający górę oderwał się od zbocza i runął na równinę, bezgłośnie sunąc po skałach. Lawina wypełniła śniegiem cały wąwóz, zasypała kilkaset metrów płaskowyżu Silver Run i tam spoczęła. Teraz dopiero chmury rozrzedziły się i przejaśniało.

DWIE godziny później szeryf Paul Lewis stał na skraju lasu, spoglądając na południe. Góry były białe. Na wschodzie różowa tu zapowiadała pogodny dzień, a niebo wypełniło się błękitem. Krótkofalówka szeryfa działała tylko dzięki temu, że całą noc trzymał ją przy ciele.

- Larry! - powiedział do mikrofonu. - Potrzebujemy cię tutaj Przyleć jetrangerem. Szybko.

Zeszła lawina i nie wygląda to na lepiej... Nie, my jesteśmy na skraju puszczy, w miejscu, skąd wczoraj zabrałeś rannego.

Czterosobowy jetranger nadleciał z porannego nieba i usiadł na zimnej, choć nieośnieżonej skale. Lewis polecił wsiąść do niego swoim dwóm podwładnym, a sam zajął miejsce obok pilota.

- Zawracamy w stronę gór.

- Zapomniałeś o strzelcu?

- Podejrzewam, że nie będzie do nas strzelać. Musieliby by szczęściarzami, żeby w ogóle przeżyć.

Helikopter poleciał nad trasą, którą przebyli poprzedniego dnia. Wąwóz Lake Fork można było rozpoznać tylko po czubkach pojedynczych sosen i modrzewi. Po pięciu ludziach, którzy schronili się w kanionie, nie było ani śladu. Lecieli coraz wyżej w stronę góry. Szeryf próbował ustalić, w którym miejscu nocą widział z oddali ognisko. Pilot był spięty i starał się utrzymywać jak najwyższy pułap.

Lewis jako pierwszy dostrzegł atramentowoczarny ślad na zboczu góry, wejście do

jaskini, a przed nim ośnieżoną półkę skalną na tyle dużą, by mógł na niej usiąść niewielki jetranger.

- Ląduj, Larry.

Pilot ostrożnie schodził w dół rozglądając się z uwagą, czy gdzie między głazami nie czyha na nich uciekinier, obawiając się, że za raz ujrzy błysk prochu ze starej strzelby. Na szczęście wokół panował spokój. Helikopter wylądował na półce z wirującym szybko wirnikiem, gotów do natychmiastowego odlotu.

Szeryf Lewis wyskoczył z maszyny z pistoletem gotowym strzału. Za nim pośpieszyli dwaj policjanci z karabinami. Obaj padli na ziemię, kierując lufy w stronę wejścia do jaskini. Nie zauważyli najmniejszego ruchu.

- Wychodź powoli z rękami do góry! - zawołał szeryf.

Żadnej odpowiedzi. Żadnego ruchu. Lewis podbiegł zygzakiem do jaskini i zatrzymał się obok wejścia. Po kilku sekundach zajrzał do środka.

Na podłodze zobaczył jakiś wzgórek. Nic więcej. Szeryf ostrożnie podszedł do niego. Czymkolwiek to kiedyś było, być może skórą zwierzęcia, zgniło i rozpadło się ze starości, a włosie dawno wypadło. Podniósł resztki okrycia.

Leżała pod nim w swojej jedwabnej sukni ślubnej, z białą twarzą okoloną kaskadą kruczoczarnych włosów, jak gdyby śpiąc we własnym łóżu małżeńskim w noc poślubną. Kiedy jej dotknął, poczuł, że jest zimna jak kamień.

- Przynieście tu kożuchy i owińcie ją! - krzyknął do swoich ludzi. - Wsadźcie do helikoptera i ogrzewajcie własnym ciałem!

Policjanci zdarli z siebie kożuchy i opatulili nimi dziewczynę. Jeden z nich umieścił ją na tylnym fotelu maszyny, rozcierając jej dłonie i stopy. Szeryf natomiast wepchnął drugiego policjanta na siedzenie z przodu.

- Szybko, Larry wieź ją do szpitala w Red Lodge! - zawołał. - Powiadom ich, żeby byli gotowi na wypadek głębokiej hipotermii, na granicy śmierci. Włącz ogrzewanie na maksa. Może uda się ją jeszcze uratować. A potem przyleć tu po mnie.

Szeryf patrzył, jak jetranger z rykiem wzbija się nad skalnym płaskowyżem i ogromną puszcza, która strzegła tej dzikiej krainy. Potem wziął się do przeszukiwania jaskini i półki skalnej. Kiedy skończył, znalazł samotny głaz i przysiadł na nim, wpatrując się z niedowierzaniem w niesamowity krajobraz.

W SZPITALU w Red Lodge dziewczyną zajęli się lekarz i pielęgniarka. Ściągnęli z niej zlodowaciałą suknię ślubną, rozcierali jej dłonie, stopy, ręce, nogi i tułów. Temperatura jej skóry była bardzo niska, a temperatura wewnątrz organizmu poniżej stanu krytycznego. Po dwudziestu minutach reanimacji lekarz wychwycił leciutkie uderzenie młodego serca walczącego o życie. Dwa razy zmarło i dwa razy lekarz uciskał klatkę piersiową, by przywrócić tętno. W końcu temperatura ciała dziewczyny zaczęła stopniowo się podnosić.

Raz przestała oddychać i lekarz zrobił jej sztuczne oddychanie. Płuca wznowiły pracę. W sali zabiegowej było jak w saunie, a elektryczny koc otulający jej nogi nastawiony był na maksimum.

Po godzinie zadrzała jej powieka i siny kolor zaczął znikać z warg. Pielęgniarka sprawdziła temperaturę wewnątrz organizmu. Była powyżej wartości krytycznej i wciąż rosła. Puls stał się równy i mocny.

Pół godziny później Szepczący Wiatr otworzyła wielkie, ciemne oczy.

- Ben? - wyszeptaly jej wargi.

Lekarz podziękował w duchu Hipokratesowi i wszystkim jego poprzednikom. Pochylił się nad dziewczyną.

- Mam na imię Luke, ale to nieważne. Już się bałem, że cię nie uratujemy, dziecko.

SIEDZĄC na głazie, szeryf spoglądał na helikopter, który zbliżał się do półki skalnej. Zobaczył go i usłyszał, gdy był jeszcze oddalony o kilka kilometrów. Kiedy Larry posadził maszynę, Lewis zamachał na jedyne go pasażera, policjanta siedzącego obok pilota.

- Przynies tu dwa koce - zawołał, gdy wirnik helikoptera zwolnił.

Policjant podbiegł do niego. Szeryf wskazał coś palcem.

- Jego też zabieramy.

Młody policjant zmarszczył nos.

- O rany, szefie...

- Rób, co ci kazałem. To kiedyś był człowiek. Zasluguje na chrześcijański pochówek.

Szkielet konia leżał na boku. Nie było na nim ani śladu skóry, mięśni czy też więzadeł. Znikło też włosie grzywy i ogona. Pewnie rozdziobały je ptaki, by uwić z niego gniazda. Natomiast w szczęce wciąż tkwiły zęby, choć starte od twardej górskiej paszy. Uzda zdążyła

obrócić się w pył, ale stalowe wędzidło wciąż błyszczało w pysku.

Brązowe kopyta zachowały się w stanie nienaruszonym, podobnie jak cztery podkowy przybite dawno temu przez jakiegoś kowala z dawnej kawalerii.

Szkielet mężczyzny leżał kilka metrów dalej, na plecach. Z ubrania pozostały jedynie skrawki przegniłej skórzanej kurtki na żebrach. Policjant rozpostarł koc na ziemi i zaczął przekładać na niego kości. Natomiast szeryf zajął się tym, co stanowiło niegdyś własność jeźdźca.

Zmienne pogody niezliczonych pór roku zamieniły siodło i uprzęż w kupkę zgniłej skóry, podobnie jak juki. Jednak wśród resztek tych ostatnich połyskiwały mosiężne łuski. Szeryf Lewis podniósł je z ziemi.

W resztkach ozdobionej paciorkami pochwy, która rozpadła się pod dotykiem jego dłoni, tkwił nadal pordzewiały nóż myśliwski. Futerał z owczej skóry został rozdziobany przez ptaki, jednak wśród tego, co zeń pozostało leżała strzelba - pokryta rdzą, ale wciąż strzelba.

Jednak tym, co zadziwiło go najbardziej, był kołczan z dwoma strzałami, zwężający się po obu końcach oraz stalowy toporek. Obie te rzeczy wyglądały na prawie nowe.

Była też sprzączka do pasa i kawałek mocnej starej skóry, która oparła się żywiołom.

Szeryf zebrał to wszystko i zawinął w drugi koc, po czym rozejrzał się wokół siebie, by sprawdzić, czy czegoś nie przeoczył. Na koniec wsiadł do helikoptera. Z tyłu kabiny siedział policjant swoim tobołkiem.

Jetranger po raz ostatni wzniósł się w przestworza, lecąc pod porannym niebem nad oboma płaskowyżami i zielonym bezkresem puszczy.

Szeryf Lewis spojrzał na wypełniony śniegiem wąwóz Lake Fork. Ciała zostaną wydobyte później. Nie ma wątpliwości, że nikt nie przeżył. Lewis wpatrywał się w krajobraz pod helikopterem rozmyślając o młodym człowieku, którego przyszło mu ścigać przez tę nieprzyjazną krainę.

Z wysokości półtora tysiąca metrów widział po prawej wąwóz - Rock Creek i samochody, które znów jechały szosą międzystanową. Ścięta sosna i wraki zostały już usunięte. Kiedy przelatywali nad Red Lodge, Larry skontaktował się przez radio z policjantem, który został w szpitalu. Dowiedział się od niego, że dziewczyna znajduje się na oddziale intensywnej opieki, a jej serce wciąż bije.

Przelatując nad szosą sześć kilometrów na północ od Bridger szeryf zobaczył kilka

hektarów wypalanej prerii, a trzydzieści kilometrów dalej spojrział na starannie przystrzyżone trawniki rancza Bar-T i pasące się w ich pobliżu longhorny.

Helikopter minął rzekę Yellowstone i szosę prowadzącą na zachód do Bozeman. Tam zaczął wytracać wysokość. Wkrótce lądowali na lądowisku Billings Field.

- Człowiek zrodzony z łona niewiasty ma krótki żywot.

Był mroźny koniec lutego. W odległym zakątku małego cmentarza w Red Lodge, nad świeżo wykopanym grobem, na dwóch poprzecznie ułożonych belkach stała zwykła, prosta trumna sosnowa.

Ksiądz był opatulony, a dwaj grabarze zacierali dłonie w rękawiczkach. Przed mogiłą stał tylko jeden żałobnik. Była to dziewczyna w kozakach i pikowanym płaszczu, ale z gołą głową, na jej ramiona spływała kaskada kruczoczarnych włosów.

W oddali, pod cisem, stał potężny mężczyzna. Przyglądał się, ale nie podszedł. Miał na sobie kozuch z przypiętą do niego odznaką sprawowanego urzędu.

Mężczyzna pomyślał, że ta zima była bardzo dziwna. Wdowa po Braddocku, której śmierć męża przyniosła więcej ulgi niż cierpienia, porzuciła samotny tryb życia i objęła prezesurę Braddock Beef Inc. Zmieniła fryzurę, poddała się operacji plastycznej, zaczęła nosić eleganckie ubrania i chodzić na przyjęcia.

Odwiedziła też niedoszłą synową w szpitalu. Polubiła ją i zaproponowała jej domek na ranczu oraz pracę w charakterze osobistej sekretarki. Obie propozycje zostały przyjęte. Następnie pani Braddock w formie darowizny zwróciła panu Pickettowi pakiet kontrolny udziałów w jego banku.

- Prochem jesteś i w proch się obrócisz - powiedział uroczyście ksiądz. Dwa płatki śniegu niesione lekkim powiewem wiatru osiadły na czarnych włosach dziewczyny jak płatki dzikiej róży.

Grabarze opuścili trumnę do mogiły. Następnie wyprostowali się i czekali, spoglądając na łopaty wbite w ziemię.

Patologowie sądowi w Bozeman nie działali pośpiesznie i zrobili wszystko, co w ich mocy. Ustalili, że szkielet należał do mężczyzny o wzroście nieco poniżej stu osiemdziesięciu centymetrów, niemal bez wątplenia bardzo silnego. Kości były nienaruszone, nie nosiły też śladów jakiegokolwiek urazu, który mógłby spowodować śmierć. Uznano, że zmarł z przechłodzenia organizmu.

Dentystów zaintrygowały jego zęby - proste, białe i równiutkie, bez ani jednego ubytku. Uznali, że mężczyzna miał od dwudziestu pięciu do dwudziestu ośmiu lat.

Naukowcy zajęli się jego dobytkiem. W trakcie izotopowego datowania metodą węgla (C-14) ustalono, że materiał organiczny, głównie skóra zwierzęca, pochodzi z połowy lat siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku.

Największą zagadką okazał się kołczan, a także strzały i toporek. Te same badania wykazały, że są to przedmioty całkiem nowe. Wyrażono więc przypuszczenie, że jaskinię musieli niedawno odwiedzić Indianie, którzy pozostawili je jako trofea dla człowieka zmarłego w niej wiele lat temu.

Nóż myśliwski został pieczołowicie odrestaurowany. Po ustaleniu jego wieku na podstawie kościanej rękojeści подарowano go profesorowi Inglesowi, który powiesił cenny eksponat na ścianie w swoim gabinecie. Starą strzelbę otrzymał szeryf Lewis. Odnowiona przez specjalistę zawisła na honorowym miejscu nad jego biurkiem. Postanowił, że kiedy będzie przechodził na emeryturę, zabierze ją ze sobą.

- ...oczekując zmartwychwstania i życia wiecznego. Amen.

Grabarze mogli się wreszcie rozgrzać, przystępując do zasypywania mogiły ziemią. Ksiądz zamienił kilka słów z jedyną osobą, która przyszła na pogrzeb, pogładził ją po ramieniu i pośpieszył na plebanię, by się nieco ogrzać. Dziewczyna nadal stała przy grobie.

Po złożeniu przez nią zeznań, które zresztą nie wniosły nic do sprawy, wstrzymano pościg. Prasa spekulowała, że mężczyzna pewnie nocą opuścił góry na koniu i zniknął w odludnych zakątkach Wyoming, pozostawiając ją na pewną śmierć w jaskini.

Grabarze zasypali mogiłę, szybko okolili ją kamieniami i wysypali na wierzch cztery worki żwiru. Następnie skłonili się milcząco przed dziewczyną i odeszli. Potężny mężczyzna obserwujący pogrzeb z oddali podszedł do niej i bez słowa stanął obok. Dziewczyna nawet się nie poruszyła. Zdawała sobie sprawę z jego obecności i wiedziała, kim jest. Paul Lewis zdjął kapelusz i wsadził go sobie pod pachę.

- Nie udało nam się odszukać pani przyjaciela, panno Pickett - powiedział.

- Nie.

Dziewczyna trzymała w ręku pojedynczą czerwoną różę na długiej łodyżce.

- Podejrzewam, że chyba nigdy go już nie znajdziemy.

-Nie.

Mężczyzna wyjął różę z jej dłoni, zrobił krok do przodu i położył ją na warstwie żwiru. Na mogile stał drewniany krzyż, ufundowany przez dobrych ludzi z Red Lodge. Przed polakierowaniem miejscowy stolarz wypalił w drewnie napis:

TU SPOCZYWA
CZŁOWIEK POGRANICZA
ZMARŁY W GÓRACH
OKOŁO 1877 ROKU
ZNANY JEDYNNIE BOGU
NIECH SPOCZYWA W POKOJU

Mężczyzna wyprostował się.

- Czy mogę w czymś pani pomóc? - spytał. - Może odwiozę panią do domu?

- Nie, dziękuję. Przyjechałam swoim samochodem.

Lewis nałożył kapelusz na głowę i dotknął jego róna w pożegnalnym geście.

- Życzę dużo szczęścia, panno Pickett.

Odszedł. Jego samochód, z symbolem Biura Szeryfa na drzwiach stał zaparkowany przed cmentarzem. Mężczyzna podniósł wzrok Na południowym zachodzie w promieniach słońca migotały ośnieżone szczyty masywu Beartooth.

Dziewczyna postąpiła jeszcze chwilę przed grobem. Potem odwróciła się i ruszyła wolno w stronę bramy.

Lekki wiatr wiejący z gór rozwiał połę jej długiego, pikowanego płaszcza, odsłaniając czteromiesięczne uwypuklenie brzucha.